

Odnaleźć ojca



Wrócił z wycieczki całkiem odmieniony. Nie to, że przepity, czy zmęczony. Był przybity i w oczach pojawiło się coś nowego. Rezygnacja, głębokie milczenie. Cały jakby się zapadł w siebie

Patrzyła na tego swojego jedynaka, dwudziestosiedmioletniego i zastanawiała się, co mógł zobaczyć? Co usłyszał? Już od początku wiedziała, że z tej wycieczki wróci inny. To było do przewidzenia. Wybrał się na nią, licząc na co, że spotka ojca, że odnajdzie swoją tożsamość, przynależność?

Wtedy wrócił z pracy podekscytowany i prawie rozśpiewany: - Mamo! Jadę na wycieczkę do Moskwy! Zakład organizuje! Już się zapisałem! Jutro wpłacę pieniądze! To dwutygodniowa wycieczka!

- Jadł zupę pośpiesznie i opowiadał z dziecięcym zapałem, jak zauważył ogłoszenie przed biurem. Jakże to szczęście, że miał właśnie dzisiaj sprawę do załatwienia, bo tylko przed biurem wywiesili ogłoszenie, a na liście było tylko kilka miejsc wolnych.

Słuchała syna, stojąc do niego tyłem, całkiem odrętwiała. Nie, nie chodziło o wycieczkę, tylko o to, po co syn chce jechać do ZSRR. Chciała mu przemówić do rozsądku, chciała go zniechęcić. Dostę się przecież wycierpiał. Bała się, że dowie się czegoś, czego nie powinien, że przypadkiem wyjdzie na jaw kłamstwo, w którym utrzymywała syna przez tyle lat...

Kiedy zdecydowała się odwrócić i coś powiedzieć, syna nie było w kuchni. Za to w jego pokoju zaskrzypiała stara szuflada w szafce. Szuflada dzieciństwa, jak ją nazywali oboje. Od wielu lat do niej nie zaglądał. Gromadził w niej dowody, wycinki, odręczne notatki. Znała zawartość, bo pokazywał jej. W szufladzie były zdjęcia jej i jego, wyraziste, pozowane, takie, na podstawie których można było zidentyfikować, rozpoznać, porównać.

Zakręciło się jej w głowie. Wskazówki zegara raptownie zaczęły się cofać. Gdzieś w głowie pojawił się ból. W ułamku sekundy wszystko do niej wróciło. Wspomnienia z tamtych miesięcy, jak film dokumentalny. Ożyły obrazy, uczucia, zapachy. Wróciło to, co tak skrzętnie wypchnęła z pamięci i serca.

Wojna zbliżała się ku końcowi. Matka z niepokojem patrzyła na wschód, skąd dobiegały odgłosy strzelaniny, kanonady. Któregoś dnia zdecydowała się na wyjazd na zachód. Stało się to w lutym, po zniknięciu robotników przymusowych i tej dziewczyny, Kaszubki. Całą noc przegadały, planując wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Matka z młodszą siostrą i braćmi miała wyjechać w nocy, a ona jeszcze poczekać na ojca, który gdzieś walczył i być może w tej zawierusze trafi do domu.

Ich dom stał z dala od dróg, w dolince, ukryty wielkimi drzewami przed wzrokiem podróżujących główną drogą. Pamięta te trzy dęby od zachodu i dwa świerki od południa. Od wschodu był sad. Z daleka wyglądało to jak kępa leśna. Rzadko kto zabłądził do ich domu. Czuli się tu zawsze bezpieczni.

Nie obawiała się o siebie, mimo pogłosek o okropnościach popełnianych przez Rosjan na Niemcach. Nie wierzyła, po prostu. Matka spakowała najważniejsze rzeczy i w nocy wozem, zaprzężonym w jednego konia, wyjechała. Pożegnały się tylko na kilka miesięcy. Po zakończeniu działań wojennych, matka zamierzała wrócić albo ona dojechać, z ojcem.



W kwietniu wróciła dziewczyna i przyprowadziła swoją rodzinę, matkę i troje młodszego rodzeństwa. Ojciec ich gdzieś tam wojował. Ich dom spłonął, nie wiadomo, czy od pocisku, czy podpalony. Prosił o schronienie, bo nie mieli się gdzie podziać. Zgodziła się, a nawet ucieszyła. Żywności jeszcze trochę było, a poza tym, raźniej mieszka się na odludziu, gdy jeszcze ktoś jest.

Nie widziała przez ten czas ani swoich, ani Ruskich. Owszem, słyszała samoloty, łoskot czołgów nocą na szosie. Tylko raz słyszała wybuch bomby, gdzieś we wsi.

W maju dowiedziała się o zakończeniu działań wojennych. Ucieszyła się, bo może wróci ojciec, matka. W czerwcu już wiedziała, że nie będzie tak łatwo. Rodzina Kaszubów na dobre osiadła w ich gospodarce. Jeszcze jej nie wyrzucili, ale stopniowo z roli gospodyni stała się służącą. Pewnego razu wrócił Kaszub i pokazał jej papier, że przejmują gospodarkę. Nie wiedziała, skąd go wziął. Nie obeszło ją to zbytnio. Czekala na ojca, czekała na znak od matki. Pracowała jak zwykle z tą różnicą, że zajęła teraz pokój na strychu, gdzie w czasie wojny mieszkała dziewczyna. Ustąpiła, bo co miała zrobić?

Świat się zmienił. Wywożono Niemców na zachód. Zwlekala z decyzją dołączenia do swoich, chociaż było jej coraz trudniej żyć w tym domu. Po nowym roku dowiedziała się o transporcie na zachód. Zdecydowała się. Poszła do pobliskiego miasteczka na punkt zborny. Na dworcu znajdowały się stare kobiety, matki z małymi dziećmi i kilka młodych. Rozmawiano po niemiecku, co przyjęła z radością, bo od wyjazdu matki nie rozmawiała z nikim w swoim ojczystym języku, za to nauczyła się dość dobrze po kaszubsku. Czekano na pociąg.

I wtedy na tej stacyjce pojawili się oni. Grupa żołnierzy ubranych w wyblakłe mundury z czerwonymi gwiazdami. Pokrzykiwali w śpiewnym języku, ale nic nie rozumiała. Dwóch z nich weszło w tłum i wskazywało palcem na kolejne kobiety. Pamięta to doskonale: wyciąganie młodych kobiet z tłumy. Ktoś tłumaczył, że potrzebne są do sprzątania i pracy w szpitalu. Na nią też wskazał palcem wysoki brunet z wąsem. Posłusznie stanęła z boku. Po chwili podjechała rozklekotana ciężarówka. Wsiadły. Spadła plandeka i samochód ruszył. W ostatniej chwili w biegu wskoczył na tył żołnierz. Uśmiechał się. Po godzinie szaleńczej jazdy samochód zatrzymał się i kazano im wysiadać. To był jakiś pałac. Wokół, w parku, stał sprzęt wojskowy, czołgi, działa i zdezelowane, podziurawione ciężarówki, gdzieś ze stajni dobiegało parskanie koni. W budce wartowniczej stał żołnierz z bronią i się uśmiechał, szeroko.

Skupiły się w ciasną grupkę i czekały w milczeniu, co będzie dalej. Wkrótce po szerokich schodach zbiegł drobny mężczyzna w mundurze, obwieszony medalami, które dzwoniły przy każdym ruchu. Obszedł kobiety dookoła, taksując wzrokiem każdą, aż wreszcie wskazał na schody wiodące do pałacu. Ktoś obok łamaną niemieczyzną wytłumaczył, że muszą posprzątać, poprać żołnierzom ubranie i będą pomagać w kuchni. Rozdzielono po trzy, wręczono wiadra, szmaty i kazano iść. To, co zobaczyła w tym pięknym pałacu, przeraziło ją. Takiego brudu na podłogach dawno nie widziała, zachlapane meble, podarte firanki, porzucane gdzie bądź obrusy i pościel. Na ścianach ślady po kulach. W milczeniu zabrała się do pracy. Wszystkie się wzięły. Chciały jak najszybciej skończyć i wrócić na dworzec.



Wieczorem, w kuchni pałacowej dostały po talerzu zupy i kromce czarnego chleba. Starszy mężczyzna zaprowadził je do piwnicy. Zamknął drzwi. Żadna z nich nie przypuszczała, co je spotka tej nocy, gdy szukały sobie legowiska. W kącie, na stercie słomy byle jak rzuconej znajdował się ich podręczny bagaż, przetrząśnięty, skłębiony. Rzuciły się do tej kupy wybierając swoje rzeczy. Ona też znalazła swoje, zebrała je i związała w węzeł. Wybrała sobie miejsce w kącie, podłożyła węzeł pod głowę i prawie natychmiast zasnęła.

W nocy obudziło ją szarpanie, krzyk dziewcząt, bełkot pijanych żołdaków. Rosyjscy żołnierze wdarli się do piwnicy. Nie pamięta, ile razy została zniewolona i przez kogo. Chyba straciła przytomność. Nie pamięta, czy długo to trwało - jedną noc, kilka, czy kilkanaście. Dwie z nich zmarły, pobite. Siedziały tam przerażone. Nie zabierano ich do pracy. Którejś nocy zobaczyła małe piwniczne okienko, otwarte. To ktoś z zewnątrz uchylił okiennice. Wykorzystała i uciekła. Biegła przez ogród, gdy ktoś ją złapał. Nie zdążyła krzyknąć, gdy usłyszała: „Cii”. Zrezygnowana poddała się, pozwoliła się poprowadzić. Ten ktoś trzymał ją jedną ręką za ramię, a drugą załapał jej usta. Szli chwilę w ciemnościach, on pewnie, ona potykając się co chwilę. Wyszli z chaszczki i znaleźli się na drodze przed małym domkiem. To do niego zmierzali. Nieznajomy ostrożnie otwierał drzwi, a ona zastanawiała się czy krzyknąć. Tylko, po co? Co może ten jeden jej zrobić gorszego od tych kilkunastu w piwnicy? Postuszenie weszła. Popychał ją delikatnie. Potknęła się o próg, ale nie upadła. Było ciemno. Usłyszała trzask zapałki i pojawiło się światło. To był mały ogarek świecy. W jej nikłym płomieniu zobaczyła mały pokój z legowiskiem w kącie i skrzynką zastępującą chyba stół. Nie

mydła i coś niby ręcznik. I wtedy po raz pierwszy ten ktoś się odezwał: - Myć. - Odwróciła głowę. Nad nią stał wysoki, przeraźliwie chudy mężczyzna. Pokazał ręką na miskę. Odwróciła się i wyszedł. Skrzypnęły drzwi. Zorientowała się, że jest sama. Szybko zaczęła myć twarz, ręce, ramiona. Przerwała, gdy usłyszała ciche pukanie. To ten człowiek wszedł przynosząc jej koc, starą koszulę i szerokie spodnie. Położył to koło niej i wyszedł. Myła się szybko i zawzięcie, chcąc zmyć z siebie ostatnie dni. Myła ciało po kawałku, zdejmując swoje łachy. Wycierała się ręcznikiem i wreszcie włożyła koszulę, spodnie. Były za szerokie i za krótkie, ale czyste. Sięgnęła po swój pasek od sukienki, przewiązała spodnie i owinęła się kocem.

Wszedł, gdy skończyła i siedziała na skrawku legowiska. Bez słowa zabrał miskę, mydło i mokry ręcznik. Wrócił, obszedł skrzynię i położył się na wyrze. Pokazał ręką miejsce obok siebie, podsunął poduszeczkę, a sam nakrył się drugim kocem, odwróciwszy się do ściany. Po chwili jednak usiadł i zdmuchnął świeczkę. Zapadła ciemność i cisza. Bała się. Siedziała i czekała na rozwój wypadków. Nic się nie działo. Położyła się na brzeжку. Nawet nie wie, kiedy zasnęła.

Obudził ją dźwięk kubka stawianego na skrzyni. Był dzień, chociaż zasłonięte okno nie przepuszczało za dużo światła. Z drugiej strony prowizorycznego stołu przysiadł nieznajomy. Łamaną niemiecką wyjaśnił jej, że jest Francuzem. Był więźniem obozu w Stutthofie. Wyprowadzony w kolumnie, porzucony jako martwy na poboczu drogi, uratowany przez Polaka, który go na wpół zamrożonego znalazł i zaniósł do wsi. Tam ukryty na strychu, odchuchany i podleczoney, doczekał końca wojny. Chciał wrócić do Francji.

Zatrzymał się w tym majątku, bo właściwie to nie ma po co wracać. Jego najbliżsi zginęli. Zamieszkał w domku ogrodnika i nikt go tu nie rusza. Coś tam robi, pomoże przy koniach, a Rosjanie dadzą chleb, konserwy, bimber, a i ludzie ze wsi coś podrzucą. Wie, co spotkało te kobiety w piwnicy. To on otworzył okienko. Ma nie wychodzić z domu. Gdyby przyszli, ma się chować. Ale nie przyjdą.

Zrozumiała go. Kiwnęła głową, wtedy pokazał jej szafę. Wziął koc i wrzucił do środka. Tam miała się w razie czego ukryć. Kiwnęła głową i siedziała bez ruchu. Wskazał jej chleb: - Jedz. Nie czuła głodu, ale postuszenie ugryzła kęs, popiła naparem z mięty. Ten smak pamięta do dzisiaj.

Została, nie wie jak długo. Tydzień, dwa? Którejś nocy obudził ją, dał jej spodnie, koszulę i jakiś płaszcz. - Musisz iść do swoich, na zachód - powiedział. Do wojskowego plecaka zapakował chleb, konserwy, kawałek słoniny. Wyszli, kierując się na zachód przez zniszczony płot, na pole, między do polnej drogi i do lasu. Szła postuszenie, otępiała, zawieszona na granicy życia. Szli w milczeniu. O świcie doszli do jakiejś wsi. Przeszli. Nikt ich nie zatrzymywał, o nic nie pytał. Mijały ich po drodze furmanki, zdezelowane pojazdy, ktoś się zatrzymał i podwiózł. Nie odzywała się, polegając na Francuzie.

Myślała, rozważała. Jak dojść do rodziny. Ale czy po tym, co przeszła, warto iść? Gdzie oni są? Jak ich odnaleźć?

Zatrzymali się na skraju lasu, na wzgórzu. Przed nimi znajdowała się wieś. Obserwowali ją kilka godzin. O zmroku ruszyli. On skierował swoje kroki do domu na obrzeżach. Szła postuszenie za nim. Zatrzymał się przy niskim płocie. W końcu zdecydowali się na wejście. Zaszczekał pies. Otworzyły się drzwi. Stary mężczyzna stanął w progu. Coś powiedział, ale dopiero po chwili dotarło do niej, że to w jej rodzinnej mowie. Francuz łamaną niemiecką odpowiedział i pokazał na nią. Wtedy się odezwała. Zaproszono ich do środka. Posadzono przy stole. Staruszka postawiła przed nią talerz zupy. Pamięta tylko, że oboje mówili. Chyba opowiadali, a może pytali? Machinalnie odpowiadała, a może pytała. Jej towarzyszy



widziała twarzy swego wybawcy czy też oprawcy. Zobaczyła tylko gest ręki wskazujący na barłóg. Postuszenie zrobiła krok w kierunku wskazanym. Bała się odwrócić, bała się drgnąć. Za plecami panowała cisza. Gdzieś z drugiej izby dobiegł ją odgłos nalewanej wody. Zamknęła oczy. Nagle drgnęła. Poczowała dotknięcie i lekkie popychanie. Na skrzyni jakaś ręka postawiła metalowy kubek z parującą herbatą, puszkę konserwy i pajdę chleba. Ręka wskazała jej, że ma jeść. Panowała cisza. Postuszenie usiadła na podłodze przed skrzynią. Nie odważyła się zbliżyć do legowiska.

Nieśmiało dotknęła kubka. Był ciepły. Piła najpierw chciwie, by w końcu zwolnić. Po kropelce, by wydłużyć czas. Cisza. Nieśmiało zaczęła się rozglądać. Nie widziała nikogo. Po chwili usłyszała ruch. Obok pojawiła się miska z wodą, na podłodze jakaś ręka położyła kawałek

wtrącał od czasu do czasu jakieś zdanie. Potem staruszka zaprowadziła ich na strych i tam pokazała pokój - schowek.

Została u tych ludzi, gdy okazało się, że jest w ciąży. Francuz poszedł dalej. Do dziś nie wie czy dotarł do swojej ojczyzny, czy utknął gdzieś. Jest mu wdzięczna, ale też żałuje, że ją uratował. Tamte dziewczyny zniknęły z pałacu, nim ona opuściła swoją kryjówkę. Nikt jej nie szukał. Została tu, bo we wsi było więcej niemieckich rodzin. Nie byli pewni swojego losu, ale pracowali na polach i w ogrodach. Przyłączyła się do nich, zarabiając na swoje utrzymanie. Starsi ludzie byli dla niej dobrzy.

Myślała o matce, ojcu, ale tamto życie wydawało jej się nieprawdziwe, jakby snem.

Urodziła syna w lutym. A może w marcu? Nie czuła radości. Za to staruszka cieszyła się bardzo. Pomagała jej przy dziecku, wyręczała wręcz, bo ona nie miała serca do bękarta. Ono czuło chyba, że jest niechciane, bo nie sprawiało kłopotów, nie płakało zbyt często, najedzone spało, głodne kwiliło. Pokochała, gdy zaczął się do niej uśmiechać, a potem radośnie gaworzyć. Wtedy dała mu imię: Brunon. Obiecała sobie wtedy, że jej Brunio nie dowie się nigdy o swoim poczęciu.

We wsi ubywało Niemców, przybywało coraz więcej rodzin polskich. Z trudem uczyła się języka polskiego, który wydawał się jej taki różny. Nic dziwnego - przybywali ze wschodu - z Białorusi, Ukrainy, Litwy i Kaszub. Z trudem wtapiała się w społeczność. Zresztą wszystkim było ciężko się odnaleźć. Z biegiem czasu wtopiła się. Podjęła pracę w utworzonym pegeerze. Nigdy i nikomu nie powiedziała o pochodzeniu syna. Chciała go chronić. A jednak wracał z podwórka, ze szkoły obity, zapłakany, z natarczym pytaniem o ojca. To wtedy wymyśliła tę piękną historię. By mógł się bronić. Historię wielkiej miłości, której wojna nie pozwoliła się wypełnić. Nie przewidziała, że będzie próbował odnaleźć swojego ojca.

* * *

Syn się do niej nie odzywał. Nie mogła mu opowiedzieć o swoich przejściach. Nie jemu. Może opowiedziałaby matce? Zatracił się zupełnie w swoim bólu, w swoim rozżaleniu. Nie wiedział, ile już tu siedział pod tym rozłożystym dębem odgradzony od świata zwisającymi, ciężkimi konarami. Zimno. Przenikliwie zimno. Przemoczona koszula przykleiła się nieprzyjemnie do skóry, ale jej chłód nie docierał do duszy, która płonęła.

Tak go okłamywać, tak perfidnie zagmatwać jego pochodzenie! I to kto? Matka. Ta jej historia o przystojnym bohaterze. A jakże! To było prawdopodobne. Wojna. Człowiek poddany dyscyplinie wojskowej, posłuszny rozkazom. Wszystko działo się w pośpiechu: miłość, przyjaźń, rodziły się w euforii wielkiego zwycięstwa, zakończenia wojny, wielkiej wędrówki ludzi po całej Europie. Wszyscy się spieszyli, by nadrobić stracony czas.

Wierzył w jej historię. Wierzył, mimo przytępienia jej na niedokładnościach. Zwał to na karb jej młodości, jej marzeń, i tego, że nadal niezbyt poprawnie mówiła po polsku. Owszem, po tylu latach nauczyła się na tyle, by uchodzić za Polkę, ale słownictwo miała ubogie i płynniej czytała po niemiecku niż po polsku.

Ojca nie znał. Matka nie pamiętała dokładnej daty jego urodzin, niczego zbyt nie pamięta z tego okresu. Nie pamięta nawet, kiedy sołtys przyniósł z urzędu akt urodzenia i kto podał jego narodziny. Całe jego dzieciństwo było pod znakiem niewiedomego: nieznany ojciec, nieznani dziadkowie, wujkowie. Byli tylko oni: matka i on, mały Brunon, częściej jednak nazywany Helmutem. Jako malec nie rozumiał tego, ale wołał Helmuta od Hitlerka, bo i tak go wołano. Matka wtedy wybiegała z domu, chwytając go i mimo

sprzeciwu zamykała, nie pozwalając na wychodzenie poza obręb furty. W szkole też go nie oszczędzano, prowokując do bójek, w których zawsze przegrywał, bo był drobny i zawsze najmniejszy. I tak mu zostało: metr sześćdziesiąt pięć! Często wracał obity, zakrwawiony i poturbowany. Matka nie rozczulała się nad nim. Przecierała rany, robiła okłady i doraadzała obojętność.

Najbardziej bolało go przezwisko: bękart. Rzadko je słyszał, ale kiedy poznał jego znaczenie, nie chciał iść do szkoły. Wtedy usłyszał piękną opowieść o wielkiej miłości matki i rosyjskiego oficera, historię ckliwą, rodem z bajek. Wielka miłość, która wybuchła i musiała odejść, bo przyszedł rozkaz. Ten oficer miał być bohaterem, szlachetnym i prawym. Ta matczyna opowieść wyzwoliła w nim marzenie: pojechać do ZSRR i odnaleźć ojca. Na pewno nie będzie to trudne, bo przecież był prawdziwym bohaterem. Pokochał tego swojego ojca. Zwierzał mu się i śnił o nim. Cekał cierpliwie na dorosłość i możliwość zrealizowania planów poszukiwawczych.

Podjął pracę zaraz po ukończeniu podstawówki, chociaż matka namawiała go na naukę w zawodówce. Już od pierwszej wypłaty, po dorostem zadysponował swoimi pieniędzmi: podzielił na trzy części. Jedną szła na książeczkę oszczędnościową, dwie do kieszeni matki i od niej prosił o drobne sumy na swoje wydatki. Nigdy nie miał przy sobie więcej niż na butkę i oranżadę. Oszczędzał i czekał na okazję.

Zbudował w sobie ideał ojca. W marzeniach to go uśmiercał, to go wynosił do rangi wielkiego generała dowodzącego armią. Zachłannie oglądał filmy wojenne. Kochał dzielnych żołnierzy walczących z nieprzyjacielem Wielkiego Kraju Rad. Czasami dochodziły do niego strzępki informacji o mordach popełnionych przez Ruskich, ale nie analizował ich, nie szukał potwierdzenia, z góry zakładając, że wszędzie znajdą się jakieś parszywe owce.

Wiedział też o niemieckich korzeniach matki, ale nie odczuwał potrzeby dowiadywania się czegokolwiek, bo i matka nie okazywała zainteresowania tym tematem. Pożegnała się z matką i braćmi w czterdziestym piątym i potem tak się złożyło, że zakochała się w Rosjaninie. Najpierw czekała na jakiś znak od niego. Babka? Wyjechała. Matka nie wyjechała, potulnie znosiła zniewagi od Polaków. Nigdy nie wyszła za mąż. Małomówna, spokojna, cicha. Pracowała w pegeerze. Robiła co jej kazano. Dodatkowo brała prace przy burakach. Oszczędna, gospodarna, nigdy nie narzekała, nie płakała, ale i nie śmiała się szczerze, radośnie. Zawsze poważna. Ale to nie była powaga, to było niebo smutku.

Po latach wreszcie trafiła się okazja wyjazdu do Moskwy. Rok 1973. Wycieczka zakładowa. Pamięta dokładnie każdą sekundę tamtego dnia. Zapisał się na tę wycieczkę, mimo że kierownik mu odradzał, perswadował, że to dla kierownictwa, że będzie się źle czuł, bo sami pracownicy biurowi. Nie słuchał i po raz pierwszy postawił się kierownikowi. Sam się sobie dziwi. On taki zawsze pokorny, prawie czapujący wszystkim biuralistom. Pamięta zdegrustowane miny, które towarzyszyły jego wsiadaniu do autokaru. Chociaż matka za dbała, aby ani strojem, ani zawartością portfela nie różnił się od innych. Prawie całe oszczędności poszły na tę wycieczkę. Też mu odradzała, nie chciała, żeby jechał. Ale on uparł się, na przekór wszystkim. Miał swoje zadanie do zrealizowania. Wycieczka miała mu w tym pomóc.

Miał swój plan obmyślony w najdrobniejszych szczegółach. Muzea, tablice pamiątkowe, pomniki. Imię Iwan, wąsy, jasne oczy. Dlaczego wierzył, że ten wizerunek wystarczy? Że rozpozna go natychmiast na fotografiach?

Nie rozpoznał, nie odnalazł. Naraził się tylko na pośmiewisko i politowanie. Po powrocie wydusił z matki prawdę. I co? Dzieciństwo, młodość, całe życie... nic nie warto.

Teresa Nowak, Łupawa



*W niektóre wieczory
zbierano się w jakiejś
chałupie na oprzęd.
Tak też, pod koniec
lutego, wybrano się do
Kłębów, na ową prze-
ślicową wieczornicę*

W Lipcach na przedwiośniu

Czas idzie wolno i równo, ani go wyprzedzić, ani wstrzymać. Tak i w Lipcach w ten zimowy czas wszystko szło swoim porządkiem: „komu śmierć była naznaczona - umierał, komu radość - weselił się, komu bieda - wyrzekał, komu choroba - spowiadał się i czekał końca - i pchało się jakoś z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, by się ino zwiesny doczekać, albo tego, co komu przeznaczone.”

Do wiosny daleko jeszcze, dni ciągle krótkie, roboty za dużo nie ma, tyle co w obejściu. Co niedziela muzyka w karczmie się odbywa, a w dniu powszednie to znajomków się odwiedza, to dziad jakiś przyjdzie do wsi i opowiada o świecie różności, to list przyjdzie od któregoś chłopaka z wojska, a przy nim „co to było czytać, narad, opowiadań, wzdychów dzieuszyn a matczynych płaczów, że i na całe tygodnie starczyło!”.

Zawsze też gdzieś swary sąsiedzkie, obmowy, kłótnie, co nimi cała wieś żyje. A to o wilkach mówiono, które podchodziły pod opłotki i podobno owce we dworze wydusiły, to o złodziejach, to o innych rzeczach, „a tak ciągiem coś nowego, że wszystkim starczyło i na dnie, i na długie wieczory, że to czasu zimową porą nikomu nie brakowało”.

W niektóre wieczory zbierano się w jakiejś chałupie na oprzęd. Tak też, pod koniec lutego, wybrano się do Kłębów, na ową prześlicową wieczornicę. Po wieczornych obrządkach zaczynają się schodzić najpierw gospodynie stateczne, jedna po drugiej, aż „zeszło się razem sporo babiego narodu i z czym która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami, a niektóre z szyciem, albo i tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zeszyły po próżnicy, na rajcowanie”. Sadowią się kołem pośrodku izby, pod lampą wiszącą u pułapu. Kłębowa wita każdą z osobna, a Kłęb miłe słówko rzuci, ławy i stołki podsuwa. Do izby wchodzi i Jagna z Nastką Gołębianką, i inne dziewczuchy, a za nimi wsuwają się

parobki. Trzeba już i pieńki z dworu przynosić, żeby wszyscy mieli gdzie siedzieć; ale miejsca dosyć, bo dom wielki choć niski, przez Kłębowego pradziada postawiony. W izbie jeszcze niegłośno, ciche pogwarki na razie, ale już chłopaki zęby szczerzą do dziewczuch, już chichotów coraz więcej, a wkrótce śmiechy coraz większe, bo i starsze gospodynie swoje dokładają. Wszedł Rocho, który później będzie historie różne opowiadał, ale teraz rwetes się zrobił, bo słysząc, jak idą z niedźwiedziem. To Gulbasowe i Filipki chłopaki, poprzebie-rane, jeden za czarnego jak cygan niedźwiednika, drugi za zwierza tego, a inni grający na piszczałkach, kijami w podłogę walący a pokrzykujący srogo. Wodziciel udaje różne głosy, to barana, to koguta, to ogiera, a niedźwiedź dowodzi, że „krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziemi, ryczał, ucieszenie skakał, to dziewczyny brał w pół temi drewnianymi kulasami i ciągał w tan, aż dziw, że się chałupa nie rozwalila od tych wrzasków, gonów i śmiechów”. Wreszcie, suto opatrzeni przez Kłębową, wynieśli się przebie-rańce, a w izbie powoli się uspokaja. Teraz Rocho, w ucichłej gromadzie, że tylko wrzeczona furkocą, czasem ogień trzaśnie na kominie albo zaszemrze czyjeś westchnienie, zaczyna opo-wiadać. Opowiada i opowiada, o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie śpi wojsko zakłętę; o zamkach wielgachnych, gdzie w złotych izbach królowny wybawiciela czekają i gdzie co noc muzyka i zabawy, a jak kur zapieje, wszystko znika; o krajach, gdzie ludzie jak drzewa, a mocarze górami rzu-cają; o skarbach nieprzebranych, przez smoki strzeżonych. A jeszcze opowieści gdzie „kije-samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory, strachy, czary, dziwości! - a drugie jeszcze, insze, a cudne i wprost nie do wiary, że wrzeczona z rąk leciały a dusze nieśły się w zaczarowane światy, oczy



gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej lubości i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu”. Opowiada Rocho i opowiada, ale już zmęczony, odpoczywa. Cisza nastała w izbie, bo każdy przeżywa te obrazy roztaczane przed nimi, krainy cudowne, królów i księżniczek, strachy i dziwy. Nie koniec to jednak opowieści, bo teraz to jedna z kobiet, to druga zaczyna gadać, co jej się przypomniało - o topielicy, o upiorach, o wilkołakach, wisielcach, czarownicach, zjawach... Jagna nie tylko słucha, ale bierze papier zapisany przez dzieci, które Rocho uczy, i wystrzyga to smoki, to króle. Zaraz Rocho kolejne opowieści będzie snuł, o Matce Boskiej i Panie Jezusie, jak chodził po świecie. Zaraz też Mateusz wyciągnie flecik i będzie na nim przygrywał, a Tereska zadawać będzie uciśne zagadki, jak ta: „Lipowe drzewo wesoło śpiwa, a koń na baranie ogonem kiwa”. Zgadywali, zgadywali, aż doszli do tego, że to skrzypce. Inne jeszcze zagadki były, „aż się izba roztrzęsła gwarem i wesołością. I jeszcze długo w noc tak się społecznie zabawiali”.

Czas zabaw i muzyki zbliża się do końca, zaraz Wielki Post. W ostatki, dzień półświątki, od samego rana w chałupach ruch, bo przecież trzeba izby przyogarnąć. Po porządkach czas na smażenie pączków, prażenie mięsiwa, na zakupy w miasteczku i w karczmie u Żyda. Tyle roboty, a tu jeszcze niedźwiedniki włóczą się po wsi, rwetes czyniąc. We wtorek zapustny po kolacji muzyka w karczmie, a ciągną na nią wszyscy, bo to ostatni raz przed postem. Mateusz gra na skrzypicy, wtóruje na fleciku Pietrek, Borynowy parobek, a przybębnia Jasek zwany Przewrotnym. Muzyka żwawa, a „zabawiano się na niej z całego serca, hulano ochotnie jak małe kiedy i do późna, do tela, póki dzwon na kościele nie uderzył na znak, że to już północ i zapustom koniec; wnet zamilkły muzyczne głosy, zaprzestano tańców, dopito śpiesznie flach i kieliszków i naród się cicho rozchodził”. Rano trzeba wstać, bo Popielec, na nabożeństwo.

Hanka też idzie, jak inni, do kościoła. Ciężko jej bardzo, bo nie dość, że Antek ani o nią ani o dzieci nie dba, aż biedę cierpią, nie dość, że zimę muszą spędzać w starej Bylicowej chałupie, gdzie nie ma podłóg tylko zimne klepisko, nie dość że o mało z ojcem nie zamarzła ciągnąc chrust z lasu na opał, to jeszcze Boryna nakrył Antka z Jagną w brogu. Bróg się spalił, a sprawa rozniosła się na wieś całą. Spadło to na Hanke jak obuchem, ale przemogła boleść. Poszła do kościoła w to nabożeństwo pokutne, bo „tutaj dopiero wybuchnęła żałami, u tych świętych nóżek Pocieszycielki złożyła przekrwawioną ranami duszę”. Pomogła jej modlitwa, poczuła się wzmocniona na duchu, a tymczasem „msza się skończyła i cały naród w skrusze, a często gęsto i z płakaniem przystępował do ołtarza, chyląc pokornie głowy pod popiół, którym ksiądz z głośniejszą modlitwą pokutną posypywał przyklękających”. Wielki Post trwa, w niedzielę jeszcze nieszpory. Wypełniają ludzie kościół, Gorzkie Żale śpiewają, słuchają w ciszy organisty czytającego rozważania Męki Pańskiej, ale najbardziej porusza ich dusze kazanie, z taką mocą przez księdza wypowiedziane, że „w skupionej i zaszuchanej gęstwinie już się zrywały płacze, już gdzieś niegdyś żalne westchnienie się rozległo”. Przeżywają ludzie ten Wielki Post i w chałupach, bo gdzie zbierają się prządky, tam słyszą „z cicha przyspiewywane gorzkie żale i pieśni żałosne o Męce Pańskiej”.

Tymczasem zaczęły się ciągnąć dni marcowe. Pogoda psia, bo deszcz ze śniegiem ciągle, a wiatry, a chmury bure nisko wiszące. Dnie wydają się ponure, ciemne, a noce jeszcze gorsze, z wiatrami, deszczami i szumem drzew, tłukących się o płoty. A że ziąb przejmujący, to i mało kogo się we wsi widzi. Plucha zasnuwa Lipce, że odróżnić nie można chałupy od chałupy, tak wszystko we mgle rozmajaczone. Ludziom przykrzy się, bo dni coraz dłuższe, a robić nie ma co, tyle co w chałupie albo w obejściu. Co starowniejsi jedynie zaczynają przygotowywać pługi, brony czy inny sprzęt gospodarski do wyjścia w pole, gdy już wiosna przyjdzie. Wolno idzie jednak i ta robota, bo kłopoty przychodzą, jak to na przedwiośniu: a to oziminy gdzieś wytrzymały, a to „niejednemu kończyła się pasza i głód zaglądał do obór, gdzie znów ziemniaki pokazały się przemrożone, owdzie choroby zagnieździły się w chałupie, a do wielu przedniówek się dobierał”. Biedocie i kormnikom najgorzej w ten czas, niektórzy raz dziennie tylko ciepłą strawę jedzą, ziemniaki czy kaszę tylko, z solą jedynie na okrasę, a i to często u młynarza na odrodek wzięte czy u Żyda w karczmie na borg.

Ciężki ten czas we wsi, frasunków niemało, stąd swary i kłótnie w niejednej chałupie i między sąsiadami. Do tego choroby się na Lipce zwały, „jak to zresztą zwyczajnie bywa przed zwiesną, w niezdrowy czas, kieć wapory zdradliwe biją z tającej ziemi”. Ospa zabierała dzieci, nawet wójtowych dwoje najmłodszych, febry zaś i gorączki na starszych spadały, aż Dominikowa nie mogła nastarczyć lekować. Dłużej się wszystkim to czekanie na wiosnę, wszyscy jej wyglądają, bo wydaje się, że „by można wyjść z pługiem na rolę, to i biedy i frasunki się skończą”.

Nieliczne dni słoneczne budzą Lipce do życia - zaczyna się wietrzenie chałup, kobiety gadają głośno przez płoty z sąsiadkami, psy baraszkują z dziećmi na błotnistych drogach. Ktoś opowiada, że słyszał już skowronka, ktoś widział wysoko pierwszy sznur dzikich gęsi, „a któryś, bodaj Kłębowy chłopak, przyniósł pierwszą przylaszczkę i latał z nią po chałupach, że oglądali ów błady kwiatuś z podziwem głębokim, jak tę świętość najwyższą, i dziwowali się wielce!”. Radość we wsi jednak nie trwa długo, bo za chwilę po słonecznych godzinach znów chmury przychodzą, zimny wiatr wieje i zaczyna mżyć, a wieczorem wali mokry śnieg. Do wiosny jeszcze trochę.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Tadeusz Chmielewski - twórca polskiej komedii



4 grudnia ub. roku w Warszawie zmarł w wieku 89 lat Tadeusz Chmielewski, znakomity scenarzysta, reżyser i producent filmowy, który przez prawie pięćdziesiąt lat służył swoją twórczością ludziom, bawił i tworzył dla radości i uśmiechu Polaków



Polacy w oczach cudzoziemca są spostrzegani jako mało śmiejące się społeczeństwo. Obraz przeciętnego Polaka to fizis smutasa, to twarz mało radosna, nie uśmiechnięta oraz zawsze zamyślona i zabiegana w troskach dnia codziennego. Ta znana charakterystyka Polaka może już pomatu przemija. Twórczość komediowa, która powstawała w okresie realnego socjalizmu, dostarczała wiele radości w tamtych czasach. Filmy te przetrwały historyczną zawieruchę wydarzeń, ciągle są przypominane, w telewizji są powtarzane i cieszą się największą oglądalnością, nie ma dla nich konkurencji w osiągnięciach współczesnej komedii. Do twórców tamtego okresu należał Tadeusz Chmielewski - wybitna postać polskiego kina. Dzieła jego są ponadczasowe, komedie ciągle bawią komizmem sytuacyjnym, doborową obsadą aktorską i wyjątkowymi

scenariuszami. Urodził się 7 czerwca 1927 roku w Tomaszowie Mazowieckim. W czasie drugiej wojny światowej i do 1948 roku był żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej. Jego ojciec był policjantem w Tomaszowie Mazowieckim, znanym skoczkiem wzwyż, a w czasie wojny dowodził oddziałem partyzanckim. Po wojnie został zamordowany przez komunistyczne władze Polski. Tadeusz ukończył w 1954 roku Państwową Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi. Piastował wiele funkcji w Kinematografii Polskiej i w stowarzyszeniach filmowców. W latach 1983-1987 był wiceprezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Następnie w latach 1987-1989 członkiem Komitetu Kinematografii. Był również twórcą wielu scenariuszy do swoich filmów. Kilka zrealizował wspólnie z żoną Haliną, też reżyserem i scenarzystką filmową. Urodzona w 1932 roku w Rzeszowie była najbliższą osobą współpracującą z reżyserem.

Filmy Chmielewskiego przeszły do historii kinematografii jako polskie komedie kultowe. Jego wybór artystyczny to komedie. W latach 50-tych, 60-tych i 70-tych ub. wieku były w polskiej kinematografii czymś niezwykłym. Podobnie jest dziś, nie przemija ich popularność.

W 1957 roku powstał film „Ewa chce spać”. Był to debiut reżysera nagrodzony w 1958 roku Złotą Muszlą na festiwalu w San Sebastian. Film ten - surrealistyczna komedia z dialogami Jeremiego Przybory i z aktorami - Barbarą Kwiatkowską oraz Stanisławem Mikulskim należy dziś do kanonu polskiej szkoły filmowej. W 1963 roku T. Chmielewski zrealizował film „Gdzie jest generał” - pierwszą polską komedię wojenną. W jego komediach zawsze pojawiały się motywy liryczny. W filmie „Gdzie jest generał” szeregowy Orzeszko (Jerzy Turek) wzdycha do Rosjanki Marusi, którą gra Elżbieta Czyżewska. W „Pieczonych gołąbkach” zrealizowanych w 1966 roku, pracownik warszawskiej stacji pomp „Gruba Kaśka” (Krzysztof Litwin) marzy o prawdziwej Kasi, zagranej przez Magdalenę Zawadzką...

Największym jednak przedsięwzięciem filmowym Chmielewskiego jest obecnie oglądany na naszych ekranach telewizyjnych i wielokrotnie powtarzany już film kultowy pt. „Jak rozpętałem drugą wojnę światową” z 1969 roku. Zawdzięczamy mu fantastyczną komedię koszarową, z wielką rolą Mariana Kociniaka. Do tematu wojny reżyser wrócił po latach w adaptacji prozy Kazimierza Ślawińskiego „Przygody kanoniera Dolasa”. W trzyczęściowym filmie „Jak rozpętałem drugą wojnę światową” Chmielewski z satyrycznym zacięciem przedstawił niezwykle przygody kanoniera Dolasa na frontach drugiej wojny światowej. Film należy do najchętniej i najczęściej oglądanych polskich komedii. W 2000 roku reżyser wrócił do swojej trylogii, włączając się w proces koloryzacji filmu.

Następne zrealizowane filmy: „Wiosna panie sierzancie” i świetny kryminał „Wśród nocnej ciszy” - są to dzieła, które też nie boją się upływu czasu. Mroczny kryminał z lat dwudziestych ub. stulecia „Wśród nocnej ciszy” zrealizowany został w 1978 roku według powieści Ladislava Fuksa „Śledztwo prowadzi radca Heumann”. Policjant zabija w nim własnego syna, kiedy się zorientował, że ten jest mordercą. W skromnej roli technika policyjnego, pojawił się sam reżyser.

Do znakomitej komedii można zaliczyć również film „Nie

lubie poniedziałku”, posiada nawet anegdotę reżysera. Tadeusz Chmielewski wspominał: „...scenariusz powstał z dnia na dzień, z codziennych notatek - na pierwszym spotkaniu z zaczynającym swe urzędowanie ministrem, musiałem przedstawić jakiś nowy projekt. (...) Naprędce wymyśliłem zarys komedii o jednym dniu z życia Warszawy”.

Pod pseudonimem swojej wnuczki Zofii Miller napisał też scenariusz filmu „U Pana Boga za piecem”, który również okazał się dużym sukcesem. Za ten scenariusz otrzymał nominację do nagrody Orła w 1998 roku. Dziś można ocenić, że jest to jeden z najpopularniejszych polskich filmów ostatnich dwudziestu lat, który doczekał się kontynuacji w dwóch kolejnych częściach.

Wielki mistrz polskiej komedii, gdy tworzył swoje dzieła, wypowiadał się: „Komedia ma być śmieszna, a film sensacyjny musi trzymać w napięciu. Wystarczy, aby uznać, że są to filmy dobre”. Chmielewski przez kilkadziesiąt lat reżyserował filmy, które z założenia trafiać miały do szerokiej publiczności i które przede wszystkim miały widza bawić i wciągać. Ale miał również swoje niezrealizowane marzenie. Był synem przedwojennego policjanta i może dlatego planował nakręcenie filmu o słynnym przedwojennym kasiarzu Szpicbródce. Zgromadził mnóstwo materiałów na jego temat. Mówił: „Podobno zaraz po wojnie było włamanie tak genialne, że podejrzewano, że to Szpicbródka. Ślad wiódł na Wybrzeże, tam się jednak urwał. Ktoś jeszcze widział Szpicbródkę w Szwecji. I tyle.” Film miał mieć formę śledztwa prowadzonego przez

osobę zafascynowaną Szpicbródką, odtwarzającą jego losy, ale przygotowany scenariusz nie został zrealizowany.

Ostatnim filmem Chmielewskiego - według własnego scenariusza była zrealizowana w 1984 roku „Wierna rzeka” na motywach prozy Stefana Żeromskiego. Tym filmem reżyser zaskoczył swoich widzów. Powstała wybitna, pełna dramatyzmu adaptacja powieści z wielkimi kreacjami Małgorzaty Pieczyńskiej i Olgerda Łukaszewicza. Jednak przez cenzurę ten film został odłożony na półkę, cztery i pół roku czekał na wejście na ekrany.

W 1984 roku Chmielewski został dyrektorem i kierownikiem artystycznym Studia Filmowego i Zespołu „Oko”. Podejmował wyjątkowo trafne decyzje przy wyborze do realizacji scenariuszy, którym stawiał największe wymagania. W Studium tym za jego czasów powstały tak znane i tak różne filmy, jak: „Kobieta z prowincji”, „Kramarz” i „Nad rzeką której nie ma” Andrzeja Barańskiego, „Wrony” Doroty Kędzierskiej, „Och Karol” i oba „Kogle-mogle” Romana Załuskiego, „Stan strachu” Janusza Kijowskiego, „Show” Macieja Ślesickiego czy „To ja złodziej” Jacka Bromskiego.

Przez wiele lat wykładał sztukę scenariusza w PWSFTiT. Był niezwykle czynnym działaczem Stowarzyszenia Filmów Polskich, był wielokrotnie wybierany wiceprezesem tej organizacji. Ma też inną chlubną kartę w swoim życiorysie. Wiele razy interweniował i upominał się u ówczesnej władzy o prawa twórców, walczył o zwolnienie z więzień kolegów i o powrót filmów odłożonych na półki. Jest też ciekawy epizod polityczny z czasów, kiedy przygotowywał z kolegami ze Szkoły Filmowej w Łodzi - Kazimierzem Kutzem i Januszem Morgensternem - nowelowy film o Powstaniu Warszawskim, według scenariusza lekarza i powstańca Jerzego Lutowskiego. Projekt, szykowany na 10. rocznicę wybuchu Powstania, został jednak odrzucony.

Serdecznie wspominają reżysera współpracownicy, mówią: „Znaliśmy prywatnie wyjątkową osobę Chmielewskiego kilka dekad. Potrafił mówić z szybkością karabinu maszynowego, miał fantastyczne poczucie humoru, do tego zapamiętywał, co lepsze żarty.”

T. Chmielewski był też zastępcą Andrzeja Wajdy w Zespole Filmowym „X”, potem prowadził Zespół „Oko”. Ostatnio pracował głównie jako opiekun artystyczny i producent. Był posiadaczem wielu wyróżnień i nagród. W 2005 roku otrzymał honorowe obywatelstwo Tomaszowa Mazowieckiego. W 2010 został odznaczony Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, w 2011 - uhonorowany nagrodą „Orla” w kategorii „Za osiągnięcia życia”. Otrzymał też m.in. Nagrodę Prezesa Rady Ministrów II stopnia za twórczość w dziedzinie filmu fabularnego i Doroczną Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie filmu.

Został pochowany 9 grudnia ub. roku na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Pozostanie w naszej pamięci jako wszechstronny reżyser i scenarzysta, twórca genialnych komedii, ten którego filmy na stałe zapisały się w powojennej historii polskiego kina.

Włodzimierz Lipczyński
Ślupsk



Fot. M. Opasiński / wikipedia.org



Piękna „Tancerka”

*W kinie „Rejs” w Słupsku jest już wyświetlany francuski film *La danseuse* „Tancerka” w reżyserii i według scenariusza Stephanie Di Giusto. To ekranizacja biografii Marie-Louise Fuller (1862-1928), wybitnej artystki Opery Paryskiej i europejskich kabaretów*

W filmie tancerkę gra aktorka Soko, która przedstawia burzliwe życie i artystyczne dokonania Louise Fuller, zwanej na scenie Loie. Pokazuje przebyta drogę tancerki urodzonej na amerykańskiej prowincji, pokonywanie wielu trudności i wyrzeczeń w dochodzeniu do sławy. W Paryżu na przedstawieniach artystka co wieczór prezentowała taniec o wyjątkowej ekspresji, który przeszedł do historii pod nazwą „tańca serpentynowego”. Polegał on na tym, że tancerka z przedłużonymi ramionami za pomocą długich drewnianych drążków i ukryta za metrami jedwabiu, elektryzowała i zaskakiwała publiczność wyjątkowym charakterem ruchu scenicznego. Taniec ten został po raz pierwszy utrwalony na kinowym ekranie w 1896 roku, po powstaniu kinematografii. Dzięki braciom Lumière został uwieczniony jako wspaniały dokument tej epoki.

Fuller, mimo że jest Amerykanką podbija świat bohemy paryskiej i staje się najbarwniejszą postacią na przełomie XIX i XX wieku. Tancerka osiąga apogeum artystyczne i zarazem stanowi fascynującą osobowość. Jest obdarzona bogactwem talentu i artystyczną wizją, reprezentuje dopracowany sceniczny wyrazisty charakter. O wyjątkowości osoby mogą świadczyć jej relacje z geniuszami tej epoki. Jest mężą Henriego de Toulouse-Lautreca i Auguste Rodina, ulubienicą braci Lumière i Marii Skłodowskiej-Curie, a także bliską przyjaciółką Marii Koburg - królowej Rumunii.

Marie-Louise Fuller przyciągała uwagę zarówno artystów, jak i badaczy jej sukcesu, ze względu na swój hipnotyzujący taniec nazywany jeszcze dzisiaj serpentynowym oraz na rewolucyjne dokonania na scenie. Wprowadziła „grę światła” przez zastosowanie różnokolorowych reflektorów. Loie stała się symbolem epoki, jej zawołane ruchy sceniczne, wzbogacone feerią światła i piękne kostiumy miały przemożny wpływ na ówczesne sztuki plastyczne i na pokoleniową manierę, snobizm i modę. Wszystko jednak artystka okupiła

ciężką pracą. W filmie podziwiamy jak poświęca się na ołtarzu sztuki, wkładając w swój taniec krew, pot i łzy, aby dojść do znakomitej perfekcji.

„Tancerka” jest reżyserskim debiutem Stephanie Di Giusto, która wcześniej pracowała jako fotografka i autorka teledysków. Ten jej rodowód jest widoczny w uwodzących oko inscenizacjach z występów Fuller. Reżyserka w filmie położyła akcent na obrazie i ogólnym nastroju. Można mieć jedynie zastrzeżenia do samej fabuły filmu, która czasami się gubi w wątkach towarzyszących, a powinna więcej miejsca poświęcić samej Fuller jako tancerce nowatorskiej. Zapewne za mało zagłębia się w tajemnice talentu Loie, jak również nie pokazuje jej wewnętrznych napięć. W filmie natomiast oglądamy przedstawioną dokładnie technikę jej tańca. Jest to prawdziwe przeżycie. Taneczne rekonstrukcje stanowią najciekawszą warstwę tego filmu.

W połowie obrazu jednak wyłania się jego główna oś dramaturgiczna. Na scenę wkracza Isadora Duncan (1878-1927), młodziutka tancerka amerykańska pochodzenia irlandzkiego. Kobieta o ciekawej osobowości i twórczych ambicjach, później żona poety S. A. Jesienina. Jest grana przez aktorkę Lily-Rose Melody Depp. Ze swoją filigranową buzią rozpieszczonej laleczki doskonale pasuje ona do roli kusicielki Izadory i przeciwstawia się surowości Loie, która należała do grona twórców tańca nowoczesnego. Reżyserka odważnie inscenizuje między bohaterkami zwodnicze podchody, przeciwstawiając ich osobowości. W filmie Izadora jest podopieczną Marie-Louise Fuller i szybko następuje pojedynek charakterów, zasadzający się na dynamice przyciągania i odpychania. Rywalizacja nie przeciwstawia ich osobowości, a reprezentowane style tańca. Loie przedstawia neurotyczny taniec, ukrywając swoje ciało w fałdach zwiewnego materiału i refleksach światła. Natomiast taniec wyniosłej Izadory jest cielesny i wzorowany na nagości antycznych posągów.

Di Giusto chciała pomieścić w filmie zarówno początki kariery Fuller, jak i jej kres, kiedy poczuła, że czas ją wyprzedza. Dla osiągnięcia dramatycznego kontrastu potrzebne było spotkanie z inną wielką amerykańską tancerką Isadorą Duncan. Pod względem artystycznym obie tancerki stanowiły przeciwieństwo. Fuller to „modernistka”. Duncan była „romantyczna”, bezpośrednia, prosta, odwoływała się do starożytnych wzorów greckich.

Fuller rzeczywiście pomogła Duncan w karierze, ale ich wyeksponowany w filmie melodramatyczny związek i rozstanie (obie były biseksualne) to raczej wynik fantazji reżysera. Ciekawszy jest jeszcze inny wątek, kiedy Fuller ze swoimi uczennicami próbuje w naturze, na leśnej polanie, innego tańca niż ten, jaki sama uprawia. Jest on podobny do późniejszego tańca Izadory, która doprowadziła do upadku legendy o wielkiej Loie Fuller.

Film ten może również stanowić pretekst do pogłębienia wiedzy o samej Izadzie Duncan, która od 1900 roku występowała w Europie, wygłaszając także odczyty o swojej sztuce. Była przeciwniczką szkoły klasycznej w balecie, opierała się na wzorach starogreckich, dążąc do organicznego związku tańca z muzyką. Swoje tańce komponowała jako ilustracje do muzyki uważanej dotąd za nie taneczną. Wspomina o tym sama w swojej książce „Moje życie”.

Film „Tancerka” przedstawia również złudzenia pięknej epoki - Belle Epoque. Sceny z Loie tworzą miraż z wirującym światłem i wówczas się wydaje wszystkim, że jest zstępującym na ziemię bóstwem. Najważniejszy jest jednak w tym wszystkim taniec i piękno, które z niego wynika i urzeka. Taniec to perfekcyjny, zapiera dech w piersiach i rzuca na kolana. Należy ten film zobaczyć, bo z takim pięknem nie mamy do czynienia na co dzień.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

wiersze najnowsze

Małgorzata Wator, Słupsk

CZŁOWIEK ZROBIONY Z ROWERU

Scentrowało mi się oko przez to noszę okulary.
Na flaku ze stóp zrobił mi się odcisk i kuleję.
Empatia nie działa łańcuch nie przeskakuje
przerzutki nie chodzą jak trzeba.
Kobiety tyle razy się na mnie przejechały że
na pewno nie będą chciały kamąć się drugi raz.

Wiersz wyróżniony w Tumieju
Jednego Wiersza w Kobylnicy.

TAK BYWA

Zaznaczasz mój wzrost linijką na framudze.
Wielkość zapisujesz długopisem
Zamaszystą poziomą kreską.

Tutaj
Węgiel na szufelce wspiął się do pieca.
Pierzyna w pościeli zagotowała wodę
Teraz możesz wejść będzie nam ciepło.

Nasze domowe ognisko wyczerpało wszystkie
Zapałki. Niczym nie da się tego ognia wzniecić.
Twoja dziewczynka z zapałkami
zmieniła hobby.

Wyszła z okładki książki. Kupiła nowe buty i
Wyjechała ze wsi do miasta.

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

ZIMOWE NOCE

gdzieś nad dachami rybackich chat
zegar ogłasza z wieży pierwszą drugą
w otchłani nocy i krainie śniegu
Darłowo sen swój śni pod zamiecią

w uśpiony rytm życia wsłuchana cisza
i tylko blask ulicznych lamp chwije się
przy placu z kamiennym rybakiem

wiązka moich młodych wiotkich lat
ugrzęzła w bystrym nurcie czasu
lecz oczy nienasycone widzą daleko

to z tamtych nocy przychodzi odwaga
gorący dotyk dumnego smutku
tam przy bramie życia i wrotach świata
warowała moja obnażona samotność

TRWANIE W OKAMNIENIU

Jan Wanago poeta z Wrześnicy
przemknął wśród nas jak meteor
pozostawił modlitwy fraszki satyry liryki
hektary żonę dzieci i przyjaciół
którzy póki żyją o nim nie zapomną

zasiada z powagą w niebieskim jury
i jak meteorowi przystało
świeci coraz jaśniej w rajskim ogrodzie
tam prowadzi spotkania poetyckie
profesjonalnie i z fantazją

jego kariera wywołuje bezradność
i pokorę wobec upływu czasu
on i my wszyscy wobec wieczności
to tylko mgnienie oka

czym jest przemijanie poetów
wobec tego co nam grozi kiedy patrzymy
na to co się dzieje niedaleko nas

Anna Boguszcewska, Słupsk

JAK ZMARZNIĘTY KRUCHY PTAK

w śniegu po kostki drepcze w kółko
przemarznięty do szpiku kości
przygaszony cierpieniem dźwiga brzemień
niechlubna przeszłość uwiera i boli

stare grzechy mają długie cienie
dręczy poczucie winy i sumienie
natrętne myśli nie dają spokoju
zwierciadło duszy straciło blask

echo tajemnicy ma silny pogłos
zamknięty w sobie jak uszkodzony zamek
wyrządzonej krzywdy nie da się naprawić
honor szoruje po dnie

ogarnięty strachem przed przyszłością
błądzi w gąszczu własnych myśli
drży jak zmarznięty kruchy ptak
pustka w oczach i deszcz łez

czas drąży myśli...

Grzegorz Chwieduk, Kępice

ŚNIEG

Mam go na sobie. Zaczyna kielkować.
Wymarzona wersja. Scenografia.
Nie ciąży mi. Nie przygniata do ziemi.
Białe dźwięki. Przyноси światło.

Nie da się go obrysować. Tylko udaje,
że jest ze mną, choć przylepia się
do powiek. Wyzwała się z okowów.
Wchodzi głębiej. Przyrzeka koniec
i początek. Nie mogę go zrozumieć.
Najpiękniejszy jest, kiedy milczy, choć
ma dużo do opowiedzenia. Świetnie
dostosowany do odbioru przez innych.
Machina działająca z oszałamiającym
skutkiem. Pochłania dużo czasu
i energii. Gdyby mu pozwolić, chodziłby
po pustych pokojach.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

WIDZIAŁEM MIKOŁAJA

W naszym kiosku był Mikołaj
Miał kilka dużych worków z prezentami
a obok jeszcze kilka załadowanych tirów.
Spytałem, co ma dla mnie?
Miał nadzieję i trochę słonych łez.
A dla innych? Dla dzieci zabawki,
słodkocy - ale nie dla wszystkich. Dla
rodziców dzieci też coś miał - pociechę,
radości z dzieciństwa,
ale też wiele obaw i smutku.
Największe prezenty miał dla
rządzających i ich pracowników, bo oni
wciąż mają mało..
A dla policji - nowe pałki.

Krystyna Pilecka, Koszalin

MAŁE ZATRZMANIE

Znów minął rok...
I małe zatrzymanie - co było
co minęło, co cieszy
co boli i... trwanie...
nasze trwanie

Radość, melancholia, łzy...
Któż dziwi się, że
rankiem słońce wstaje
I... że jeszcze „my”...

Upływa czas, mijają wieki
pokolenia -
Coś się zaczyna i kończy się coś
...Czas w woalu tajemnicy
przemija... niespodzianie...

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

KRET

W krainie nocy
drążysz labirynty ulic
i odnajdujesz oazę ciszy
uciekając od światła niebios
przeklinasz świetliste ogrody
w ciemności budujesz
piramidy faraonów.

Twój świat wrytych mroków
oświeca radość życia
i tworzy nadzieję przetrwania
w głębinach ukrytych.

Krystyna Wojewoda, Miastko

ZIMOWĄ PORĄ

zimową porą na parapetach rozsypuje
okruchy radości przylecą za chwilę ptaki
zapraszać ich wcale nie trzeba
przyroda skulona, poszarzała
walczy z przemijającym czasem
słońca jak na lekarstwo od czasu
do czasu zachwyci swym blaskiem
ale zima śniegiem obdarzy
okryje wszystko niewinną białością
co dobre i złe tą samą miarą
mróz ściśnie, przytuli - zamieni
oddech w soplek lodu
szron zaś wygładzi pomarszczone
grymasem zastygłe twarze

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

NIBY NIC

Kiedy spojrzenia splotą się wiankiem,
Wstrzymają oddech przed bielą stuleci,
Gdy matka dłonią otuli fragment
Miłości. Pamięci.
Anielski pyłek kołderkę rozścieli,
Posypie blaskiem gwiazdy największej
I się pojawi, niby ostatnie
A przecież zawsze, na zawsze. Pierwsze.
Mocą dobroci skropi
Nawet zmrózzone lico wszelakie
Bo to bogactwo uczuć najdroższych
Choć urodzone świata biedakiem.

Z APETYTEM

Zatańcz w słońcu wiosennych pragnień
Złocisty warkocz młodości zapleć
I złap się wstążki tęczyowych marzeń
Skrzydłem przejrzyste uczucie wznieć

Niech cię nie straszą kłębiaste myśli
Podniebnych kresów ścieżki odległe
Sercem bijącym miłości ptakiem
Pokonasz nawet gromy podstępne

Iskry płomieniem rozpalą zmysły
Niczym diamenty załśni twe ciało
I chociaż lico w czerwonej barwie
Twoje oddanie w wiosny zieleni

Nawet pod srebra płatków przykryciem
Albo w szarości zbłąkanych szeptów
Smakuj tęsknotę z kielicha przeżyć
By twe pragnienia były spełnione...

Jan Smalewski, Naćmierz

W STYCZNIU

Nocą styczniową w śnieżnej bieli gwiazd
niczego tak bardzo nie pragnę jak ciepła.
O, słysząc mrozu trzask.
Słysząc pióro poety. Serce zimy pęka.

O, widać wtedy każdy drobny ślad
na płachcie śniegu trwającego życia.
I dotknąć można każdej z białych gwiazd,
co chłodem promieni z nieba nas nasycza.

Śnieżycą zawiąło połączenie lat,
mrozem odcięło dalekie od bliskie.
Lodem spoilił powolne i szybkie.
Wiatrem owiało drogi nasze wszystkie.

I zaśpiewał dźwięczny słowik stycznia
- mróz. Za gardło ścisnął, pochwylił za krtani.
Ale nie da rady, przełamie go na pół
ciepły dech gorzałki, gorący żar ogniska.

Tak, to chłopski chuch, to wiejski śpiew.
Słowik mrozu cichnie, w południe przysypia.
A po drodze sanki dryń, dryń, dryń.
A po stawie bryza niczym złota brzytwa.

Stanisław Mikulski, Ostrołęka

Nowy Rok 2017
będzie tak samo stary
jak my
kiedyś narodzeni
wśród murów przejeżdżających aut
i spieszących do pracy pielęgniarek

wszystko nowe
stare będzie

oprócz miłości
i Ciebie ...

Z cyklu „Pociągi do Tuszcza”

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

PAUZA NA PAPIEROSA

W Chojnicach pierwszy przystanek
nie rozglądam się i tak ciemno
zbieram myśli o Margot i o jej mieście
Avinion.

Podobno sylwester spędzimy w pałacyku
nie chciała mi powiedzieć ile zapłaciła
podobno zagra zespół muzyczny z Filipin -
no coś tyle lat zasiedziały w Ustce
niczym (paździerzowy dziadek) z ulicy Małej.

Wziąłem trzy kapelusze
pochwałę się ulicom i drzewom
przejdę się po zaciszach starego miasta
zatrzymam myśl i zostawię -
może ktoś podobnie zachowa ten szczegół

dwie myśli połączą się i pójdą w nieznane.

TO MIAŁ BYĆ TYLKO SPACER

To miał być tylko spacer
kilkanaście ujęć zdjęć że byliśmy
zajęci sobą - i jest dowód na to
jak potrafimy skupić poszczególne
elementy miłości - na tak zwanej
powierzchni wyrastającej z zewnątrz
- to takie malowanie żeby wewnątrz
poukładać noworoczne uczucie.
To miał być tylko spacer
pozdrowić wenecką ścianę
i stare obiekty śpichrzów -
nie przeszkadzać toni rzeki Brdy
w tonacji niezmiennącej się od lat
i gromadnych kawek które poszukują
pod drzewami pokarmu - i tych kaczek
odpływających od brzegu
w wiekopomnym nurcie historii
jakby te ptaki były ważniejsze
od ludzi - tak mi się wydaje.

Zaprosiłem we wtorek Pannę M.
do karczmy młyńskiej na styczniowy obiad.

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

OCALMY ŚWIAT

Serce jest za drogie, by za bezcen je oddać
Oczy są za słabe, by zobaczyć to co chcę
Prawość dziś nie w cenie, lepszy jest sprytny
Może przeznaczenie przyniesie lepszy dzień

Ocalmy świat na tysiąc lat
Ocalmy świat od kul i krat

Mądrość Salomona jest chyba potrzebna
Siła Samsona przydałaby się też
Lepiej nie żartować, Bóg swoje plany ma
By potem nie żałować, że w tej walce
jesteś sam



Nikt im światełka nie przynosi.
W niczych nie ma ich wspomnieniach,
Motylek został ich postać.
Choć chłód listopadowy
Przenika drobne ciało,
W trzepocie skrzydeł,
W tym locie nieustannym,
W tych kręgach i wirażach
Modlitwy cichej znaki
Spadają na ołtarze.
Madonna na dłoń zbiera
I niesie wprost do Boga.

WIEŚ WIECZOROWĄ PORĄ

Siedzę w ciszę zagłębiona
Wsluchana w myśli spory
Przedemną filiżanka
I na kolanach ciepły koc

Przez szyby noc z latarnią
O miejsce o skrawek ziemi walczą.
Wiatr się szamoce z suchym liściem.
Nikogo nie ma na ulicy.

Samotność wzięła we władanie
Skrawki chodnika, domy całe.
A w domach cicho chrapią

Zdania i słowa, co się jeszcze
Nie narodziły, bo nie ma uszu,
Które wysłuchać je by chciały.

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA

Lato stanęło w pozycji „spocznij”
Zmysły leniwie suną za horyzont.
Liście na drzewach już szeleszczą
I porządkują swe wspomnienia.
Umilkły pola w błogiej ciszy,
W promieniach słońca grzeją brzuchy,
Brzemienne ziarnem dojrziałych zbóż.

W muzyce świerszczy pożegnania.
W sen się zamienia niecierpliwość wiosny
I lata pośpiech dojrzewania,
By śnić się w długą noc zimową.
Zamilkły lasy, pola, łąki,
Niepostrzeżenie ptaki znikły.

Rozstania zapach w gąszczu krąży
Wraz z obietnicą zmartwychwstania.
I nie wiem tylko czy doczekam,
Czy będę świadkiem jak dotychczas?
Bo chociaż tyle razy dane mi było
Oglądać te obrazy, to jednak cudu tego
Nigdy dosyć.

Szaliki, płaszcze, ciepłe czapki
Już niecierpliwie szepeczą w szafach.
W kominkach ogień marzy o pobudce,
Namiastka słońca w zimowy wieczór.

Teresa Nowak - wiersze

POCHYLONA NAD CISZĄ

Nad ciszą pochylona
Przewracam kartki książki.
Wyczytać pragnę wszystko
Co niedostępne doświadczeniu
I uzupełnić te obrazy,
Co zawsze poza wzrokiem.
Łapczywa ma natura
Chciałaby poznać ziemię całą,
Nim czas zatrzyma moje życie.
Więc pochylona nad kartkami
Szczytuję słowa zapisane
Z innych wymiarów przeniesione.
Upijam wyobraźnię
Nowe przestrzenie chcę ośwoić,
I pochylona nad słowami
Odbynam swe podróże.
I chociaż one są niepełne

Brakuje w nich szczegółów
To jakoś się zapelnia tęsknota,
Marzenia mego życia,
By poznać, co za lasem,
Za górą i za morzem.
Co było dawniej i co będzie potem.
Jak teraz tam wygląda.

POSŁANIEC

Dziś motyl nad ołtarzem
Rozpostarł srebrne skrzydła
I przed obrazem Madonny
Rozpaczliwym tańcem,
Modlitewnym trzepotem skrzydeł,
Posłaniec wszystkich zmarłych,
Tych zapomnianych, opuszczonych,
Co utonęli w niepamięci,
W mogiłach bezimiennych,

Niebieska Ewa



Nowy tomik wierszy Jerzego Fryckowskiego nazwany został poetyckim imieniem muzy poety: „Niebieska”. Stąd też konsekwencje edytorskie - niebieska twar-
da oprawa z centralnie umieszczonym medalionem z portretem dziewczyny na tle dżinsowego mundurka

Znane powszechnie są Muzy poetów: Dantego - Beatrycze, Laura Petrarki, Maryla Mickiewicza i mniej znane: Allice Liddel, Elisabeth Siddal, Basia Drapczyńska, Helena Szyłowska, Natalia Gałczyńska, Emilie Floege, Gala, Misia Natanson-Sert z d. Godebska. Badacze literatury wciąż spierają się o ich inspirującą siłę i wpływ na twórczość artystów. Zapewne słusznie, poezja, sztuka w ogóle jest przecież próbą wyrażenia siebie, a zawsze w jakiejś interakcji. Miłość, tęsknota, emocjonalne rozterki są jej podglebiem.

Na stronie przedtułowej tomu elegijnych w nastroju wierszy Jerzego Fryckowskiego znajduje się skromnie sformułowana, zapisana drobną czcionką dedykacja: „Pamięci Ewy Połomskiej”. Poeta przywołuje imię Ewy w kilku wierszach, pisząc o miłości przeżywanej „z zapalem maturzysty”. Większość wierszy ma formę liryki zwrotu do adresata, dlatego uwaga czytelnika kierowana jest na liryczną bohaterkę. Za nią, nieobecną przewodniczką po kolejnych kręgach tęsknoty podąża poeta, współczesny kochanek idący za utraconym marzeniem. Kompozycja wierszy i całego, liczącego czterdzieści dwa utwory tomu opiera się na relacji podmiotu wobec lirycznego „ty”, bohaterki przywoływanej imieniem Ewy. W kompozycji tomu autor zastosował inwersję czasu i miejsca, a centralnym motywem wyznań uczynił podróż z jej atrybutami. Liryczną przestrzeń wypełniają dworce, perony, obce pokoje, gdzie pozostały ślady dawnych wzruszeń, miłosnych doznań i wspomnień. Język poezji Jerzego Fryckowskiego cechuje wzruszająca miłosna i erotyczna metaforyka pozbawiona dosłowności, doskonale zsynchronizowana z głównym tematem. Dojmujące uczucie przemijalności doznań, nietrwałości istnienia, pustki i samotności potrafi opisać językiem pozbawionym patosu, włączając realia czasu w poetycki wymiar, tak jak w wierszu „Gdy umierał Elvis Presley”. Nie nazywa wprost, poetycko opisuje zdarzenia, które poruszają wyobraźnię czytelnika, wywołują wzruszenia i emocje.

Wśród atrybutów wędrówki przez kolejne kręgi tęsknoty za ukochaną są plecak i podróżna torba z wiersza „Relikwie”, metafora tego, czym jest życie:

„w plecaku garść czekoladowych cukierków
żywcem wyjętych z telewizyjnej reklamy
w torbie podróżnej baton z orzechami
piżama na zimne hotelowe noce
z Wilna fantastyczna uszatka z dwugłowym orłem
gdyby dosięgły nas syberyjskie mrozy
kalendarz na miniony rok i zestaw do pisania
koperta z tytułem książki którą napiszę dla ciebie
czarna bielizna akurat na pogrzeb
złoty łańcuszek kupiony na dworcu w N
metalowy aniołek z niebieskim sercem
„złoty” obcinacz do paznokci
książka której nie zacząłem czytać
coraz większa kolekcja fotografii od Twoich znajomych

I ani kosmyka”

Życiowy śmietnik, bagaż niespełnionych zobowiązań, przeszłych zdarzeń niesiemy ze sobą jak relikwie, a wszystko staje się bezużyteczne wobec pustki uczynionej śmiercią. Pamięć i tęsknota stają się jedynym śladem istnienia. I poezja - zdolna prze-
nieść uczucia, zapisać, zapamiętać ich piękno i ukoić tęsknotę.

Czas i przestrzeń poeta wypełnia realiami i rekwizytami, teatralizuje sytuacje, dzięki temu uzyskuje emocjonalny dystans. Uczuciowa powściągliwość zostanie utrzymana konsekwentnie we wszystkich lirykach. W pierwszym liryku „Niebieska. Śmierć” sytuacja liryczna jest kalką aktu śmierci Dalidy, piosenkarki i aktorki, która w 1987 roku popełniła samobójstwo połykając tabletki nasenne i zapijając je alkoholem. Przed tym aktem starannie się umalowała i ubrała, z wiarą, że śmierć nie zmienia ciała. W ten sposób pieczętowała wiarę w idące za nią przez całe życie porównywanie do Kleopatry.

Na tym zdarzeniu poeta buduje liryczną sytuację, osuwając nieodwracalny, jednorazowy akt śmierci teatralnymi zabiegami, a językiem oscylującym między ironią i sarkazmem dopełnia poetycki obraz:

„Pomaluj się ostatni raz i uczesz jak Dalida
też przecież chcesz umrzeć w ciele Kleopatry
bo patolog taki młody
a strażak wybije okno
przystojny jak DiCaprio

nauczyłem Cię zapijać tabletki bolsem
przed każdym snem jadłaś mi je z ręki
(...)”

Kilka wersów tworzy klimat miłosnej historii osadzonej w konkretnej rzeczywistości, której doświadczyli ówcześni maturzyści. „Ja urodziłam się w roku 60-tym, ale zbierałam tak jak TY widokówki, znaczki, wycinałam zdjęcia aktorów z czasopism i wklejałam do zeszytów.” - pisze komentatorka bloga <http://fusilla.blox.pl/2009/11/12-kolekcji-z-dzieinstwa-dla-50-a-moze-i-60.html>. Jerzy Fryckowski, rocznik 1957, odśłania realia minionego czasu nanizane na własne tęsknoty i wspomnienia. W jego wierszach śmierć Ewy staje się zderzeniem wieczności z konkretną godziną i miejscem:

„Nie ma jeszcze szóstej
Na stole cerata z odwróconymi sercami
Możemy je dowolnie przebijać
my akurat przeżyjemy
(...)
Stegna dosypia uroczyste zakończenia lipca
(...)
Pogrzeb Ewy o szóstej”
(Ostatnie śniadanie)

Wiersze Fryckowskiego uwodzą pięknymi metaforami, dzięki którym sytuacje liryczne zyskują transcendentalny charakter:

*„Wbiegam na peron naszych wszystkich powitań
megafony po raz pierwszy
zapowiedziały spóźnienie o lata świetlne”
(Nie umiem przestać Cię kochać)*

Pierwsza miłość, niespełniona, tragiczna, staje się progiem, który trzeba przekroczyć, by wejść w dorosłość, może bardziej w dojrzałość społeczną, polityczną, życiową.

Pamiętamy Gustawa z „Dziadów” Adama Mickiewicza. Nieszczęśliwy kochanek umiera, by narodził się Konrad. Figura zastosowana przez Fryckowskiego nie jest zwykłym powieleniem romantycznej formuły przemiany. Jednak odejście bliskiej osoby jest rodzajem osobistej śmierci, pożegnaniem niewinności i młodości naiwności. W ostatnim wierszu tomiku „Niebieska” zatytułowanym „Studniówka 1976” pisze:

*„Nasz pierwszy taniec
nie słyhać jeszcze kuźni w stoczni
nie dobiega głos Radomia chociaż produkują broń*

Mamy sto dni aby dorosnąć”

Zgadzam się w tym miejscu z opinią Jerzego Zimnego, który w recenzji „Włócznia Fryckowskiego” napisał: „Nie jest to poezja jakichkolwiek matryc, to jest osobowość, żeby nie powiedzieć osobiwość językowa rzadko spotykana. Powtórka „Chwil siwienia”? Nie. To skok do przodu w doskonałość składniową i metaforyczną, ale w wymiarze osobnym, nie do naśladowania.”

Kontekst motywów literackich możliwy do odszukania w „Niebieskiej” wzbogaca przyjemność czytania przejmujących szczerością wierszy. Jerzy Fryckowski, autor kilkunastu poetyckich tomów, pozostał wierny językowej powściągliwości, jednak znak osobowości poetyckiej jest w „Niebieskiej” bardzo wyraźny. Nawet w obecności psa jako jednego z motywów:

*„Więc pytamy po nocy, kto smak nasz oszukał?
Próbuję ci powiedzieć, co znaczy kobieta,
Ty mi wzrokiem tłumaczysz, czym jest słowo suka.
I każdy z nas osobno swojej pani czeka.”*

**Czesława Długożek
Objazda**

Jerzy Fryckowski: „Niebieska”, Wydawnictwo „Jasne”, Pruszczyk Gdański, 2016. Tomik wydany w ramach przyznanego autorowi stypendium Starosty Słupskiego.



Małgorzata Beskosty - wiersze

SZCZĘŚCIE

Czym jesteś? Iskrą, co niebo przecina,
czy ptakiem wirującym w przestworach?
Ile dla ciebie znaczy dzień jeden, godzina,
uroki kryjesz w pogodzie, w humorach?
Gdyby cię mieć dłużej niż myśli dystanse,
gdyby móc cię uchwycić pajęczyną słowa,
o tyle bogatsze byłyby oczu romanse,
i rąk pocałunki, ust bezgwiezdna mowa
A człowiek niby księga, czytana bez umiaru,
co pochłania wszystko milczeniem arkusza
Jakie piękne słowa! Szczęście tyle czaru
posiada, ile dobra ma człowiecza dusza
Tak mało z nas słów czułych ulatuje,
choć nieba naszych serc pełne są obłoków
Zbyt rzadko mówimy szczęściu dziękuję,
żałując sercu uczuć, a oczom widoków

CZYM JEST...

Czym jest miłość, gdy się życie kruszy w dłoniach,
gdy dzień słowem jest ulotnym, nieprzyjaznym,
i pojawia się przypadkiem snem natchniona,
taka miłość jakby w mierze nierozważnej...

A więc rzucam świat i w odmet jej szalony
strącam kwiaty wyobraźni nazbyt rwące
Jesteś ze mną lecz za chwilę w innym tonie
zadrży serce struny tępej i milczącej

Gwiazdy milczą, gdy się ciało w lont zamienia,
szępt się staje wiarołomnym przyrzeczeniem
Byłam ogniem, czym dziś jestem - bez znaczenia
W snach i ptaki odlatują za marzeniem

W RYTMIE DNIA

Byłam dziś przez chwilę prawie sobą
jedną nogą
tańczyłam w zapomnieniu nad obiadem
drugą nogą kołysałam
do snu stare ambicje
Oj nie ma już czasu na świst wzdychania
dzień się już kończy
choć jeszcze w pieluszcze
tańczyć można w marzeniach
ale czas jeszcze na to
Teraz trzeba krzyknąć ze złości i odkurzyć
wziąć stertę prania, porozwieszać w pamięci
(byle je ściągnąć i nie zapomnieć)
podlać kwiaty i łyż zostawić na potem
wyprowadzić dziecko i nakarmić psa
Dzień się nie kończy
on nagle znika jak znikają klucze
kiedy wyjść z siebie najdzie ochota
a gdy zechcesz wrócić
wisi już tabliczka

Kolorowe pieniądze



Mały domek, dawna dróżniczówka z oknami pomalowanymi ciemnobrązową farbą, ze spadzistym dachem, pokrytym omszałą dachówką, stał sobie nie w środku i nie na końcu wsi. Ważne było, że stał między dwoma okazałymi domostwami



Przed domem był ogródek kwiatowy, w którym od wczesnej wiosny do późnej jesieni coś kwitło. Od ulicy oddzialała go siatka - pokrzywiona, przerdzewiała, z trudem trzymająca się na krzywych gwoździach drewnianych słupów, które pochylały się w różne strony świata. Być może dlatego ten płot jeszcze stał, bo każdy słupek ciągnął w swoją stronę, a siatka nie mogąc się rozerwać, trzymała go w miarę pionowo.

Z ulicy na podwórkę prowadziła piaszczysta droga, ubita kołami niewielkiego ciągnika, z dumą stojącego na podwórku. I po nim też było znać upływ czasu. Kabina niegdyś żółto-czarna, obecnie przedstawiała żalosny widok - skorodowany komin, pogięte blachy, ubytki w nadwoziu. Ale stary ciągnik nie próżnował - jeszcze ciągle pracował - zwoził siano, przewoził drewno z lasu, wywoził obornik. Tyrał ze wszystkich sił. Czasami dychawicznie pykał, krztusił się, ale ciągnął.

Właścicielką tego ciągnika, domu, tudzież pokażnej stodoły oraz chlewika była drobna kobiecina - szczupła, przygarbiona, dość wiekowa, ale żwawo pracująca w ogrodzie, w polu i w domu. W chuście, wyblakłej i wystrzępionej na głowie, spod której wzyierały niesforne kosmyki siwych, gestych włosów. W twarzy wyróżniał się nos wyjątkowo długi, haczykowaty, mięsisty. I oczy małe, ale bystre i wbrew pozorom wcale nie wyblakłe, podejrzliwie spoglądające na każdego. Usta wąskie, zaciśnięte, prawie wpadnięte w dziąsła. Wiecznie zaaferowana, zapracowana, krzątająca się po podwórku między kurkami, świnkami w chlewiku i krówką w obórce.

Pomagał jej syn zwany Kudłatym, a to z racji bujnej czupryny, której nie dawało się ujarzmić grzebieniem. Włosy zawsze sterczały na wszystkie strony. Ucywilizować mógł je jedynie fryzjer za pomocą nożyczek. A ponadto nie stronił od trunku i czasami matka poszukiwała go po wsi. Bo trzeba sprawiedliwie przyznać, że chętnie pomagał każdemu, kto go prosił. A wiadomo nie od dziś, jak to bywa z zapłatą. I tak razem gospodarowali, nawzajem siebie potrzebując.

Trochę z renty własnej, z renty syna, z gospodarstwa ciułała kobiecina każdą złotówkę i ciągle uzupełniała swoje

gospodarstwo. Tak jednak było, że między kolejnymi zakupami rzeczy upływało wiele czasu i nim wreszcie wszystko uzupełniła, to te pierwsze zakupione sprzęty odmawiały posłuszeństwa. Ostatnio zaczęła psuć się lodówka. Na szczęście problem z nią zaczął się zimą i można było spokojnie przechowywać żywność w komórce. Ale na letnie temperatury komórka nie wystarczała, więc zaszła konieczność kupienia nowej.

Ktoś jej powiedział, że w markecie obecnie jest korzystna oferta na lodówki. Pojechała, obejrzała, dokładnie wypytała i lodówkę zamówiła. Przeczornie wpłaciła najniższą kwotę zaliczki i wróciła do domu. Lodówkę dostarczą za kilka dni i wtedy uzupełni kwotę - dziewięćset złotych.

Po dwóch dniach podjechał pod dom samochód, a w nim lodówka, nowiuteńka, biała. Panowie lodówkę przynieśli, ustawili i podłączyli. Na stole kuchennym pojawił się rachunek - dziewięćset złotych za lodówkę i za transport sześćdziesiąt złotych. Właścicielka nowej lodówki popatrzyła na papiery i zniknęła w pokoju. Po chwili przyniosła portfel i wyłożyła siedem banknotów dziesięciozłotowych. Konsternacja. - A reszta? To za mało. To tylko transport lodówki. Kobiecina pokazuje pusty portfel. Dostawca tłumaczy jej, że to za mało, że będą musieli zabrać lodówkę z powrotem. - I przypadnie pani zadek - usłyszała.

- Ja pójdę do sąsiadów i pożyczę, a panowie poczekają na podwórku - zaproponowała.

- Dobra. Byle szybko. Wsiadli do samochodu.

- Sąsiadko, a wy mi pożyczcie dziewięć zielonych złotych na lodówkę? - nieśmiało zapytała. Sąsiadka trochę przerażona zaczyna wypytywać o tę lodówkę i pieniądze. Konsultuje z bratem, który dowiedziawszy się o sprawie, wyklada pieniądze i każe dać kobiecie. Wie, że nie straci, bo stara jest wypłacalna, ale jego siostra tego nie wie. Wie tylko, że ta kobieta nie zna się na pieniądzach. Waha się.

- Nie bójta się, ja wszystko oddam, to te zielone papierki. Ich trzeba dziewięć. Wyrwa z ręki banknoty i truchcikiem wraca na swoje podwórkę. Za nią podąża sąsiadka, bo mimo zapewnień, że odda, chce sama sprawdzić, co z tą lodówką.

Na podwórku stał samochód dostawczy, a w nim czekali skonsternowani dostawcy, którym kobieta przeznienie nie pozwoliła czekać w mieszkaniu.

- Panie, ja mam pieniądze. Sąsiadka mi pożyczyła - faceci odetchnęli z ulgą. Szybko biorą banknoty, przeliczają i odjeżdżają. Lodówka zostaje w kuchni. Sąsiadka jeszcze chwilę rozmawia, ogląda nabytek i wychodzi. Jest niespokojna. Nie ufa kobiecie, a to była niemą suma. Zorientowała się już, że starszka nie zna się na pieniądzach, że rozpoznaje je po kolorach, a jeśli nie skojarzyła kolorów w sklepie i nie wie, o jakiej sumie jest mowa? No, ale brat chyba wie, co robi, że jej pożyczyl?

Wieczorem kobieta zapukała do drzwi. - Przyniesłam pieniądze - powiedziała. I wyłożyła na stole równo dziewięć banknotów stu złotych. - Widzita? Wszyściutkie zielone. Bo pieniądze są kolorowe i ja każdy kolor układałam oddzielnie. Przysiadła na krześle i spokojnie patrzyła, jak gospodyni przelicza i chowa banknoty do szuflady, jednocześnie informując brata, do którego one należały, gdzie są. Ten coś tam odburknął. A stara zaczęła jeszcze mówić: - Bo ja nie głupia, żeby obcy pokazywać, gdzie ja chowam pieniądze. Pożyczyłam i one myślą, że ja nie mam pieniędzy... i nie przyńdom,... że ja muszę pożyczać,... i się cieszą. A co ja miałam pokazać, że ja mam? Nie, one by mogły mi ukraść. Teraz tyle złych ludzi. W telewizorze mówią!

Teresa Nowak, Łupawa

Zderzyły się dwa światy



Dziadek wielokrotnie powtarzał, że im więcej w dłoniach nabrzmiałych żył od ciężkiej pracy, tym większą mówią prawdę o człowieku. Tylko praca, niekiedy ciężka fizyczna stanowi o wartości człowieka

Upadek

Zaczepił mnie, dotknął od tygodnia nie mytą dłoń. Ani on nie stał się przez to lepszym, ani ja gorszym. W mikrokosmosie zderzyły się dwie bańki i nie pękły, nie eksplodowały, chociaż powinny. Dwa światy ze wspólnym rodowodem się spotkały. Ja to ten dobry, w wyprasowanej koszuli, w nowych spodniach i butach. On, to ten zły - odraza, w podartych spodniach, kurtce i czymś, co kiedyś było butami. Wygadany roznosiciel stęchlizny i moczu. Dla pozycji, jaką obrał przez aklamację, podrasowany tanim winem, chętnie sypał przykładami z kilkunastoletniej wędrówki po kloszardowym świecie, nie przebiegając przy tym w słowach. Pozostali siedzieli pokornie ze spuszczoneymi głowami i tylko czasem je podnosili, gdy w opisie ich sytuacji padało słowo „przyszłość”. Miałem wtedy wrażenie, jakby wyczekiwali tego słowa, jakby było im ono potrzebne na równi z tlenem. Jakby było pięknym kwiatem rozkwitłym tylko dla nich. Jakby to światło w tunelu, o którym tyle słyszeli, zaświeciło właśnie teraz i przeprowadzi ich do lepszego świata. Ale ono po chwili jednak zgasło i z bolącym tyłkiem powracali na ławeczkę, obok trafostacji przy ulicy Kołłątaja.

Nocowali kiedyś w wagonach na bocznicy kolejowej, ale to było dawno. Potem poszli na klatki schodowe, ale policja zrobiła nalot i wynieśli się do piwnic, tych w starych kamienicach. Później i stamtąd musieli się wynosić. Przystosowaniem nazywają przypadkowo znaleziony zapyziały spiwór, kiedy indziej podartą kołdrę, albo obszczany kocyk jakiegoś bachora. Potem wyczaili gites noclegownie w kanałach ciepowniczych, ale jakieś dupki wrzucili tam zapalone szmaty. Właściwie to śpią gdzie popadnie, częściej w śmietnikach, bo tam nikomu nie przeszkadzają. Tylko czasem nachodzą ich jakieś babki z tych organizacji, co to pewnie słyszałem i przekonują do zmiany stylu życia. Lecz oni twierdzą, że to tylko na pokaz, bo gdyby znały prawdę o ludzkiej naturze, nie zawracałyby im głowy. Według tej samej filozofii nie miałem również bladego pojęcia, ile dobrych rzeczy trafia na śmietnik. Nawet dobrą żywność wyrzucają, z której oni niekiedy korzystają.

Najgorzej jest nad ranem, kiedy łożą niedospani, brudni i śmierdzący, choć do tych odorów już przywykli, częściej przeszkadza im burczenie w brzuchu. I nawet się śmieją, kiedy jakaś kobitka na ich widok zastania nos. Na ogół trzymają się razem, wspólne żarcie, jakiś alkohol. Ale, od kiedy pojawiła się ta Jolka z Długiej, to się popsło. Pewnie myśleli, że im również coś skapnie z obecności tej blondyny.

Ten drugi to chłop spod słupskiej wsi. Mówi, że dopóki istniał PGR, było dobrze, jechało się na traktorze czasem kilkanaście kilometrów. Był człowiek szanowany i wypito się czasem po pracy. Były zabawy i pełny gar, bo była kasa. Żona była zadowolona i dzieciaki uśmiechnięte. Potem, jak to wszystko pieprznięto, to i jego pozamiatało, nie podniósł się.

Mówią, że w supermarketach jest teraz dużo ochroniarzy. Policja też tam zagląda. Kiedyś wystarczyło wejść do takiego sklepu, najeść się ile dusza zapagnie i wyjść, że niby się tylko oglądało. Ale to się zmieniło, wszędzie kamery. Za batona zamykają. W perspektywie pozostaje jadłodajnia Caritasu, ale tam chodzą rzadko. Przeważnie nie jedzą dzień lub dwa.

Dwaj milczkowie wyczekujący przyszłości jak manny z nieba są dużo odważniejsi w osądach. Nie wierzą w Boską opatrność i ludzką dobroć. Jedyne, co trzyma ich przy życiu, to brak odwagi skończyć z sobą. Wierzą, że natura zrobi to za nich, pomrą kiedyś jak dzikie koty pod jakimś drzewem.

Kolejny dzień śpią na działkach. Nie zawiadamiam policji. Jest listopad, noce stały się już chłodne. Śpią w barłogach, przykryci kocami i kołdrą. To pewnie na razie wystarczy, lecz co jeśli przyjdą mrozy? Co wtedy zrobią, czy pójdą znów do piwnic, z których są wyganiani jak szczury? A jeśli któryś zamrze, co zrobią wtedy?

Żyją chwilą pełnego żołądka i pociągania z flaszki, sprawy bytowe są dla nich czymś nierealnym. Mają to, co mają, a właściwe nie mają nic. Nie martwią się o nic. Z zimnem żyją od dawna, zaprzyjaźnili się z nim. Jest dla nich jak starszy brat, daje wskazówki i upomina. A życie na ulicy jest jak ogromny mur, który samowładnie przeprowadza selekcję. Oni wciąż spadają do tego kosza obok, z którego trudno się wybić. Próbuje osiągnąć obręcz i spadają na karki, pozostających. Ktoś czasem zagląda do tego kosza i widzą wtedy nieruchome twarze bez uśmiechu. Te twarze przyglądają się im i nic nie mówią. Są martwe.

Ten, co zaczął, przyjechał ze Śląska. Bo tam kopalnie jedną po drugiej zamykają. Pracował jako monter, składał maszyny rolnicze, a później przyszła redukcja i na bruk. Kuroniówka i kolejna praca, ale okazało się, na krótko, bo prywaciarz zbankrutował. Potem flacha za flachą, no i wylądował tu. Jest mu dobrze. Chyba się zakochał w tej Jolce z Długiej. Może wyrwać się gdzieś stąd razem. Jolka dba o niego, jest dobra. Na pewno stąd wyjadą. Tak jakoś na wiosnę.

Ten trzeci jest byłym kierowcą ciężarówki, którą stracił za jazdę po pijanemu. Poszedł w przystawową „długą”. Czterdziestoparolatek. Tuła się już dziewiąty rok. Tam pewnie gdzieś żona i córka. Tylko już o nim zapomnieli. Wstydzą się go, a i on nie ma odwagi napisać. Jak mantrę powtarza, że jemu tu dobrze. Swoje życie porównuje do snu i pociąga z butelki.

Noc w noclegowni? Bardziej realna jest jajecznicza z sześcioro jaja podana przez gołą kobitkę. Tam czuli się źle, bo nie można tykać. No i ten rygor. Krzyczą jeden przez drugiego, kiedy próbują przekonać ich do tego pomysłu. Nakreślam pokrótce drogę, jaką mogliby pójść, gdyby tylko zechcieli. Moje słowa stają się dla nich niezrozumiałe, chwilę potem zatrzaśkują mi drzwi przed nosem.

Mikrokosmos zamknął swoją przestrzeń.

Dłonie

Dziadek wielokrotnie powtarzał, że im więcej w dłoniach nabrzmiałych żył od ciężkiej pracy, tym większą mówią prawdę o człowieku. Tylko praca, niekiedy ciężka fizyczna stanowi o wartości człowieka.

Ten robotnik był niepiśmiennym chłopem z Zamojszczyzny, takim, co to nie mówił wiele, ale kiedy już się odzywał, była w tym sama mądrość. Ta mądrość wcale nie wynikała ze zdobytego wykształcenia, którego nie posiadał, z gnuśności polskiej prowincji, z ustnych przekazów, czy obcych

naleciałości. Była kwintesencją ciężkiej pracy, w niej się rodziła, w niej krzepła i z nią ogłaszała prawdę, często oczywistą i niewygodną. Jego wielkie dłonie jak bochenki chleba z głębokimi bruzdami i zaschłymi odciskami przypominały ziemię. Każdego ranka zarzucał lejce na kark i mozolnie orał, głęboko wrzynając pług w życie, w robotniczy trud. Odkładał skibę za skibą, jak uczył go ojciec, tak solidnie żeby nie było poprawek, żeby nikt nie miał do niego pretensji za źle wykonaną robotę. Solidność była czymś więcej niżeli nakazem czy przyzwyczajeniem. Była w nim cała. Tak było też z książką w jego wielkich dłoniach...

Dotąd niepiśmienny, po raz pierwszy wziął gazetę i nic nie byłoby w tym szczególnego, gdyby nie to, że trzymał ją odwrotnie. Dostrzegłem to pierwszy i wtedy pomyślałem sobie, że tak bardzo chciał coś przeczytać, nawet za cenę ośmieszenia się. A potem niespodziewanie było spotkanie przy wódce w jego skromnej części „familioków” na Wielickiej i szczególna prośba. Pierwsze konspiracyjne lekcje odbywały

się podczas dłuższych przestojów w pracy z powodu braku surowca. Kilkakrotnie również w domu pod nieobecność domowników, przy świeżo upieczonym drożdżowym placku i herbatce.

Poznałem go w osiemdziesiątym roku na początku robotniczej drogi, miał wtedy pięćdziesiąt osiem lat i nigdy go nie zapytałem, dlaczego nie umie pisać i czytać. Odkładał skibę za skibą, mozolnie z trudem i wielkim wysiłkiem, ale nigdy nie rezygnował. Po miesiącu wydukał dwa zdania z gazety, dwa miesiące później przeczytał całą notatkę pod zdjęciem. Odtąd orka szła szybciej i miał wreszcie ochotę na zaoranie ojcowego pola, żeby przy wielkim dla niego szacunku, zerwać z przeszłością. Po roku nie byłem mu już potrzebny. I wtedy zauważyłem tę książkę w jego wielkich spracowanych dłoniach, kiedy siedział samotnie na ławeczce w parku. Wyglądała, jak mały kamyk znaleziony przez niego na zaoranym polu, niby nieistotny, ale jak i on pochodził z ziemi, z tej właśnie ziemi.

Dłonie miał wciąż te same spracowane, wykonywał wciąż tę samą ciężką pracę, ale jednak w jego życiu coś się zmieniło. To coś sprawiło, że słowo solidność nabrało innego znaczenia.

W ciszy podwórza

Batalię o dom mojego dzieciństwa wygrywał czas, komunistyczna rzeczywistość go tylko w tym utwierdzała. Obdarci ze wszystkiego wartościowego, jednocześnie kapcanieliśmy. Karmieni ideologią, którą tak kochał mój dziadek, dziwaczeliśmy, jak on w zaciszu ogrodowych drzew.

Ten dom nie był szczególny, ani w jakiś sposób wyjątkowy. Był spuścizną tych, co toczyli tu spokojne życie przed wojną i darem z niebios dla tych, co wyruszyli w drogę przez pół Europy po swoje. Raptem stało się jasne, że porozumienie wielkich na plecach maluczkich usankcjonuje to, co jeszcze niedawno było nierealnym marzeniem. Utopię skapaną we krwi kilku pokoleń, echem oręża, świstem kos i brzękiem kajdan.

Elewację zawłasczyło pnącze dzikiego wina i od lat uprawiało niekontrolowaną wspinaczkę pod dach, trochę zawiędzone dwukondygnacyjną bryłą, spod której typały białą ram kwadratowe oczy. Poza panoszącą się winoroślą, żółt frontonu, ta pierwsza dama w dworskim orszaku, rozpinając kolorową suknię z niemożliwą do ogarnięcia ilością kwiatów. Domy karnie stały w dwuszeręgu przy żuźlowej rzece, którą z rzadka przetaczała się kolubryna drabiniastego wozu czy żelazna skorupa samochodu. To mieliśmy dla siebie. Dom, drogę zwaną rzeką przypadków i ogród.

Dzięki wysokiemu i przystojnemu mężczyźnie, który zawojował niejedno niewieście serce, mogłem być częścią tego domu, czerpać z niego pełnymi garściami, a jednocześnie bezlitośnie eksploatować, oskarżać i zapominać. Dziadek Stanisław był osobą wyjątkową, tak myślę. Choć pewnie jego postać nie była jednoznaczna i bez skazy, to miał wpływ na kształtowanie się powojennej rzeczywistości mojego powiatowego miasta. Tak jak miała też niezaprzeczalnie moja matka Genowefa. Oboje kreowali ten dom, dodawali mu barwy i splendoru. To oni przyczynili się do obrazu, jaki dziś mogę odtworzyć.

Dom ten skupiał całą rodzinę, jeśli nie na co dzień, to w niedzielę i święta na pewno. Zazdrościłem wówczas tym domom, w których panował względny spokój. Najwspanialsze były święta, ich aromat i magia wryły się głęboko w moją pamięć i pozostały w niej na zawsze. Panosząca się repatrianckość, pozbawiony wyszukanej subtelności świat, a jednocześnie tak czuły i opiekuńczy zarazem, sprawił że wyrastałem na człowieka efemerydę. Kłóciły się we mnie - obraz tego, w czym tkwiłem, co słyszałem i czułem, i obraz tego, co



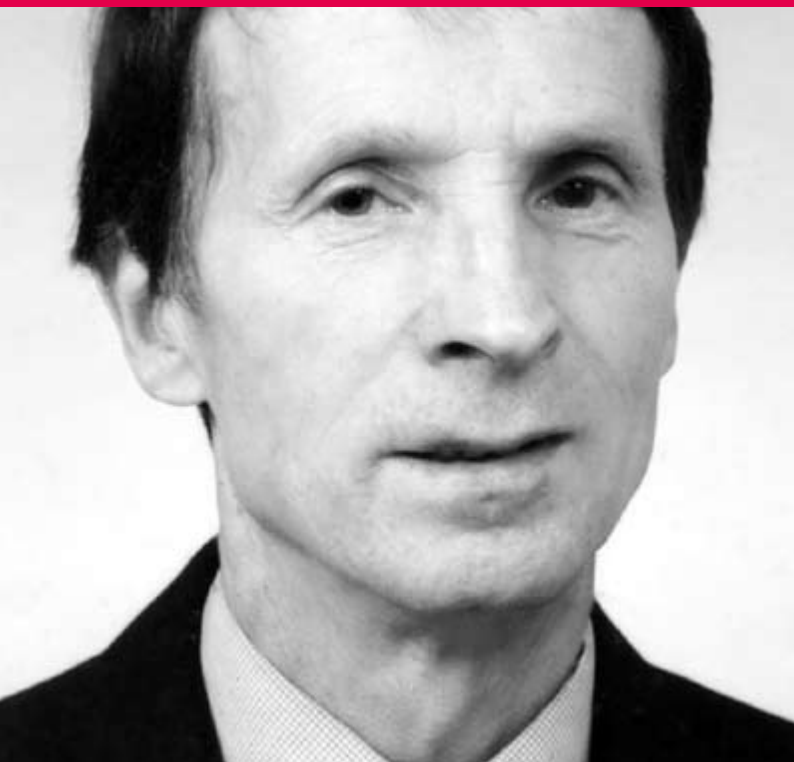
odeszło. Nigdy nie zatrzymałem w sobie magii tamtych słów, choć je oczywiście pamiętam i po swojemu pielęgnuję. Ale nigdy nie będą one moje. Dziwnie rodził się ten mój, pożal się Boże, światopogląd.

Już nie pamiętam, kiedy i gdzie zawładnęła nami myśl o możliwych skarbach ukrytych w zasobach posesji. Ale poza stłuczoną filiżanką do herbaty, zardzewiałą łyżką i czymś, co mogło przypominać guzik, w swej archeologicznej ekspedycji nie natrafiiliśmy na nic cenniejszego. Mimo to nie uchroniło to nas od dalszego podkopywania, knowania i zakradania się nocą pod pień czereśni, pod którym, jak w „Szatanie z siódmej klasy”, ktoś ukrył zawiniątko z monetami. Niekompletność podwórza - naszego teatru zdarzeń dystansowała się od bylejałości podłoża, popękanej betonowej posadzki, spod której wyłaziły niczym z opowieści starszych domowników, partyzanckie oddziały trawy pojedynczo lub w kępach, jakby przygotowując sabotaż na fortyfikacje szwabów w okolicach

Sieradza. Ale wrażliwe promienie konającego słońca prześlizgiwały się jeszcze po zakamarkach scenografii w poszukiwaniu ostatnich aktorów. Zawsze kotara nocy była pierwsza przed laserami naszych oczu i wtedy nasze niedostosowanie przegrywało z naturą, skamlało o odrobinę tego spektaklu, który za każdym razem już nie był taki sam. Choć oferował nam różne jego warianty, to jednak nigdy nie udało się uchwycić tego najważniejszego momentu - konania wieczoru i aktu pierwszego brzasku, jeszcze tak niewinnego, nagiego. Teatr tego podwórza był ubogi w doznania, nie bał się jednak narzucać swojej woli i oceny sytuacji. Kreował nas, jak tylko może kreować obora, chlewnia i stodoła z nieodzownym zamczyskiem, domem repatriantów - chłopów z oddalonej o setki kilometrów centralnej Polski.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Proste wiersze



Gabriel łoś - Damnica

STRAŻNIK NIEBA

Po jednej z gwiazdnych dróg
Jedzie rycerz spod znaku księżycy
Przystojny, piękny jak młody bóg.

Jego wierzchowiec - koń pięknej urody
Z ochotą przebiera kopytami
Nie oczekując od swojego pana nagrody,
Nocą mknie po niebie pomiędzy gwiazdami.

Rycerz gościniec przesyła dziewczynie,
Odwiedzi ją zanim przeminie władanie księżycy
I świt mroki nocy rozproszy.

Jedzie dostojny jak książę z itu.
Czy zdąży objechać niebo do świtu
I wszystkie gwiazdy przeliczyć?

WIEJSKIE ZACISZE

Są na ziemi piękne pałace wybudowane rękami człowieka
I przez Pana Boga stworzone są wspaniałe cuda natury.
Niejedna dolina nas swoim pięknem urzeka
I zachwycają nas wysokie, do chmur sięgające góry.

Z dala od gór, na równinie, ciągną się pola zbożem obsiane,
A na wzgórzu rozciąga się pasmo zielonej łąki.

Wietrzyk powiewa po całej dolinie
Za tymi polami widać wierzchołek kościelnej wieży
W wiosce są z cegły murowane domy.
Na ścianie każdego numer przybity.

Słońce swoje promienie wiosce rozsiewa.
Podmucha wiatru na drzewach gałązki kołysze.
Ukryty w sadzie ptak swoją melodię śpiewa.
Takie jest wiejskie zacisze.

WIOSENNY KWIAT

Ty jesteś jak pierwszy wiosenny kwiat
Śliczna jak dzień, kiedy słońce wstaje
W twoich oczach kryje się cały świat
Ukwieczone łąki, zielone gaje.

Twoja uroda zaskoczyła mnie mile
Przybrana byłaś w suknię jedwabną
A obok ciebie fruwały barwne motyle.

Teraz kiedy widzę wdzięczny wizerunek
Wielka radość w moich oczach płonie
Z zachwytem pijam słodki trunek
A twoje spojrzenie rozkosznym drżeniem
oblewa mnie od stóp aż po skronie.



Środa Zofia - Słupsk

ROLNIK

Rolnik ziemię orze.
Kurcz się wznosi,
traktor na perkusji gra.
W oddali słysząc przelot ptaków,
zając po trawie gna.
Będą rosły łany zbóż,
chabry i kąkole.
Kolory kwiatów można podziwiać
i mieć przed oczami
na zawsze.

MŁODOŚĆ

Zgubiłam swoją młodość po drodze życia,
może ktoś ją widział?
Może zawisła gdzieś w próżni?
Gdzie jesteś moja młodość?

Stałam przed lustrem.
Odbicie było zbyt smutne,
twarz zorana jak pole u rolnika.
W snach moich stała piękna dziewczyna
w różowej powiewnej sukience,
- to była moja młodość.

LOS CZŁOWIEKA

Człowiek bierze los w swoje ręce,
nie wie czy będzie szedł po czerwonych
dywanach
czy po ciemiach i skałach?
Ludzie pną się na szczyty i są obłudni.
Człowiek myśli jak ułożyć domek z kart,
jego życie się rozsypuje jak piach na
pustyni,
pojawia się w oczach chmura i mgła.
Na pustyni kwiaty też kiedyś zakwitną.

Finał konkursu w Czeskim Cieszynie

Roczny Konkurs Literacki Miesięcznika Zwrot zakończył się zaskakująco: żadnej nagrody nie zdobyli uczestnicy z Zaolzia. Konkurencja z Polski i innych krajów (utwory napłynęły także ze Słowacji i Niemiec) okazała się zbyt mocna

Finał konkursu odbył się 22 listopada ub. roku w Domu Zarządu Głównego PZKO przy ulicy Bożka. Połączony był z koncertem młodej, utalentowanej wokalistki Magdaleny Wani, uczennicy Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego oraz jej zespołu. Utwory oceniało jury, w którym zasiadło dwoje literatów: Renata Putzlacher i Jacek Sikora, oraz redaktor naczelna Zwrotu - Halina Szczotka. - Obrady były burzliwe, ale w końcu jednomyślnie przyznaliśmy nagrody - śmiała się szefowa miesięcznika podczas ogłaszania wyników.

W kategorii prozy pierwsze miejsce przyznano mnie za opowiadanie „Nie czytam nudnych książek”. W kategorii poezji nie przyznano pierwszego miejsca, drugie zdobyli ex aequo Lechosław Cierniak (ze Słupska) za „Jesienny tryptyk” i Krzysztof Martwicki za wiersz „Gdzieś w nas stroją namiot cyrkowcy”. Nagrodzone utwory zaprezentowali - aktorka Sępnego Polskiej Teatru Cieszyńskiego, Anna Paprzyca oraz kierownik artystyczny, Bogdan Kokotek.

Organizatorzy żałowali, że na konkurs napłynęło mało

prac z Zaolzia i żadna z nich nie zasłużyła na nagrodę. - To świadczy, że na Zaolziu nie ma dziś prawdziwego środowiska literackiego, a przede wszystkim młodych poetów. Młodzi, którzy piszą, częściej wybierają język czeski. Języka polskiego nie opanowali na tyle, by napisać w nim naprawdę dobry utwór, który mógłby konkurować z innymi - stwierdziła podczas podsumowania Halina Szczotka.

Grzegorz Chwieduk, Kępice



O ludzką twarz człowieka



Wybrałem się pociągiem na podsumowanie XIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O ludzką twarz człowieka” w Krośnicach koło Wrocławia. Pomysłodawca i organizator konkursu, a jednocześnie jeden z jurorów - ksiądz Wacław Buryła powiadomił mnie, że otrzymałem wyróżnienie główne



Nagrodzeni poeci mieli się zebrać o godzinie 13.30 na dworcu PKP we Wrocławiu, a dokładnie przed Punktem Informacji Kolejowej. Do Wrocławia dotarłem o godzinie 12.36, miałem więc trochę wolnego czasu. Gdy dotarłem na miejsce zbiórki, czekali już prawie wszyscy laureaci i wyróżnieni. Poznałem z wyglądu Czesława Markiewicza z Zielonej Góry. Otrzymał drugą nagrodę. To doświadczony poeta, na co dzień dziennikarz Radia Zachód. Dał mi radę: - Jesteś bibliotekarzem, ja na twoim miejscu napisałbym wiele oryginalnych wierszy na podstawie tylko okładek książek, stojących na półkach biblioteki.

Wśród czekających były też trzy poetki: Katarzyna Zychła z Sieniawy Żarskiej, Magdalena Cybulska z Łodzi i Maria Barbara Rustecka z Warszawy. Nie było wśród nas tylko laureata I nagrody - Zbigniewa Mysłowieckiego. Specjalnym busem pojechaliśmy do Krośnic, natomiast Mysłowieckiemu zapewniono przejazd z Wrocławia prywatnym samochodem.

Uroczystość wręczenia laureatom nagród odbyła się w sali Centrum Edukacyjno-Turystycznego. Wszyscy nagrodzeni siedzieli na krzesłach na scenie. Zabrakło dwóch jurorów: Karola Maliszewskiego z Nowej Rudy i Jacka Bieruta z Wrocławia. Był za to wspomniany ks. Wacław Buryła. Uroczystość rozpoczął dyrektor Centrum - Adam Rostalski, który przywitał szefową Kancelarii Prezesa Rady Ministrów - Beatę Kempę, a także władze powiatu Milicz i gminy Krośnice. Następnie każdy z nagrodzonych przeczytał swój wiersz z wydanej pokonkursowej antologii „Obraz i podobieństwo”. Jeden z nagrodzonych w druku wierszy przeczytała z animuszem B. Kempa.

Po wręczeniu nagród osiem dziewczyn zaśpiewało kilka nastrojowych piosenek i na scenę wkroczyła z gitarą Elżbieta Dębska. To aktorka z Wrocławia, kompozytorka, piosenkarka, która przez wiele lat współpracowała m.in. z Maciejem Zembatym i grała role w filmach Jana Jakuba Kolskiego oraz Krzysztofa Zanussiego. Zaśpiewała kilka utworów Leonarda Cohena, „Piosenkę o piechocie”

Bołata Okudźawy w oryginalnym tłumaczeniu Macieja Zembatego i wiersz ks. Wacława Buryły pt. „Ciesz się miłością”, do którego sama skomponowała muzykę.

Po występach, w restauracji „Moya Ameryka” był czas na rozmowy i zdjęcia. Skorzystałem i zrobiłem sobie fotkę z Elżbietą Dębską. Udało mi się też porozmawiać z minister Kempą, która zainteresowała się Kępicami, z których przyjechałem. Ksiądz Buryła uczył kiedyś ją religii w liceum w Sycowie.

W hotelu przydzielono mi miejsce w pokoju laureata I nagrody - Zbigniewa Mysłowieckiego z Warszawy. Oryginalny to twórca, który, jak sam wspominał w notce biograficznej w pokonkursowej książce, jest elektronicznym analfabetą, ale za to z upodobaniem posługuje się maszynami do pisania. Nie ogląda telewizji, nie korzysta z internetu, słucha za to namiętnie Programu II Polskiego Radia. Kocha psy i ratuje z rąk oprawców te najbardziej biedne, zapewniając im opiekę. Wiersze pisze ołówkiem, większość niszczy, zostawia tylko naprawdę dobre.

Grzegorz Chwieduk, Kępice

